



NAPRZÓD DO SOCJALIZMU!

HASŁO TO DOMINOWAŁO NAD WSPANIAŁĄ
DEFILADĄ MŁODZIEŻY, MANIFESTUJĄCEJ
WIELKĄ WOLĘ WALKI O POKÓJ I PLAN 6-LETNI

Fot. „Świat”

„NIEBO N



22 lipca na trybunie honorowej na Placu Konstytucji zajął miejsce Prezydent Bolesław Bierut. 4 godziny trwał potężny pochód młodzieży, która witała Konstytucję



Związek Młodzieży Polskiej, który objął szefostwo nad Wojskami Lotniczymi, przekazał przodującej jednostce lotniczej sztandar przechodni ZG ZMP.



Na placu Zwycięstwa 200 tysięcy uczestników Złotu ślubowało uroczystie... „ofiarnie służyć sprawie rozkwitu i świetności Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”.

TRASA POCHODU WIODŁA JASNYMI ULICAMI MARSZAŁKOWSKIEJ DZIELNICY MIESZKANIOWEJ — CHŁUBY NOWEJ WARSZAWY, JESZCZE JEDNEGO



AD WARSZAWĄ"

ANDRZEJ BRAUN

PRZED tak niewiele laty w prowincjonalnym, zacofanym i pół feudalnym kraju, w Polsce jaśniepanów rozwalonych na bryczkach i samochodach, przed zamkniętymi bramami fabryk i kopalń, przed kordonem granatowych policjantów w grzebieniastych kaskach, imitujących nędznie rzymskich pretorian, młody syn chłopski, czy dziecko robotnika, szukało swego „miejsca na ziemi“, czy „miejsca pod niebem“. Tego miejsca nie było w państwie sanacji, którego konstytucja mówiła, że „państwo jest najwyższym dobrem wszystkich obywateli“. Nasza Konstytucja mówi, że: „W Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej władza należy do ludu pracującego miast i wsi“. Dla naszej młodzieży miejsce na ziemi ojczystej jest przy warsztatach i na scenach teatrów amatorskich, na traktorach i w uniwersyteckich pracowniach. Nasze miejsce pod niebem jest na potężnych rusztowaniach wielkich budowli socjalizmu. Dziś mamy miejsce na niebie, z którego raz na zawsze starliśmy wrogie cienie obcych bombowców i dymy krematoriów.

Młodzież na samoloty! W wielkiej hali mirowskiej tysiące uczestników rozszerzonego plenum ZMP ślubowało objąć patronat nad naszym lotnictwem. Młody przodownik ze Śląska, młody aktywista ze spółdzielni produkcyjnej, koleżanka Wanda Szemplińska, studentka z wydziału lotniczego Politechniki Warszawskiej i szybowcowa rekordzistka Polski, młody oficer — pilot samolotu odrzutowego — mówią o tych młodzińczych marzeniach, które kiedyś kończyły się na papierowym latawcu, a dzisiaj w Ludowej Ojczyźnie rozpościerają delikatne, szybowcowe skrzydła między ziemią a słońcem, huczą stalowymi turami odrzutowców pod wolnym niebem ojczystym.

Na wielkim pokazie lotniczym na Okęcu siedziałem na puszystej trawie w tłumie warszawskiej publiczności oraz zielonobluzej młodzieży złotowej. Nad nami z wyciem motorów ciągnęły klucze stalowych ptaków. Samoloty leciały wysoko, ludzie, zwykli ludzie z warszawskiej ulicy, kobiety i mężczyźni wstawali, klaszcząc z całych sił. Nikt ich nie widział, ani młodzi piloci, pedzący z szybkością kilkuset kilometrów na godzinę, ani honorowe trybuny, które były gdzieś daleko. Klaskali po prostu z wewnętrznej dumy i radości. Z poczucia siły i dumy, że oto po raz pierwszy w historii Polska nie jest krajem bezbronnym i nagim. Klaskali, bo wiedzieli, że te skrzydła pozwolą chodzić swobodnie po ziemi, nie kulić się pod świstem bomb.

* * *

Na stadionie Wojska Polskiego na maszty wpływał sztandar czerwono-biały i biały, pokojowy sztandar SFMD. Wyżej, wystrzelone w grzmocie rakiet, płynęły z wiatrem po niebie jak barwne ptaki sztandary wszystkich krajów obozu pokoju i postępu. Kiedy w słońcu żeglował niebiesko-czerwony z gwiazdą sztandar bohaterkiej Korei, na trybunie, na ławkach przede mną podniósł się ożywiony pisk radości. Tutaj falowało morze czarnych, ostrzyżonych „na grzywkę“ główek dzieci koreańskich w czerwonych harcerskich chustkach i białych koszulkach. Dzieci mówiły do siebie po koreańsku i po polsku, tręcały się łokciami, cieszyły się, jakby ujrzwały zarys ojczystego domu. W skośnych, czarnych oczkach, zmrużonych pod światło, migotała dziecienna radość. Czuję, jak mi serce podchodzi pod gardło. Oto dzieci z kraju zrównanego z ziemią, palonego i trutego wszystkimi sposobami przez katów imperializmu, oto dzieci, które mogą spokojnie patrzeć w niebo, nie kulić się pod kulami i dygotem bomb, które na czystym niebie bratniego kraju, na niebie Warszawy widzą sztandar swej dalekiej ojczyzny, śledzą łagodny lot gołębic skrzydeł i wyciągają ufne rączki jak do motyli czy kwiatów.

Kiedy w błękicie popłynęła czarno-czerwono-złota flaga NRD, przyjaciel mój, członek delegacji FDJ, siedzący obok, młody poeta niemiecki z Weimaru, Arnim Müller, powiedział ze wzruszeniem:

— Patrz, oto sztandar niemiecki nad Warszawą, który nie rzuca cienia.

Flaga przepływała przez słońce przezroczyście jak z mgły. Müller pisze powieść o granicy na Odrze i Nysie.

Na stadionie stało teraz w zwartych kolumnach 135 najlepszych młodych bohaterów pracy. Był to jak gdyby symbol naszej Ojczyzny — górniczy w mundurach stalowego koloru, murarze, hutnicy, chłopi i studenci. Między nimi 23 żołnierzy, lotników i marynarzy oraz 40 junaków „Służba Polsce“. Premier dekoruje ich zasłużonymi odznaczeniami państwowymi. Oto ci, którzy

Dokończenie na str. 23



Wszystkie zdjęcia
Fot. „Świat“



Pochód zamykała imponująca kolumna sportowców: lekkoatletów, bokserów, zapasników, łuczników... Ich siła i radość oczarowała mieszkańców Warszawy.

SYMBOLU NASZEGO POKOJOWEGO, SOCJALISTYCZNEGO BUDOWNICTWA.



**WIELKI FOTOREPORTAŻ
ZE ZŁOTU
w następnym numerze „ŚWIATA“**

NASZA KONSTYTUCJA



Na posiedzeniu Sejmu w dniu 18 lipca 1952 roku Prezydent Bolesław Bierut wygłosił przemówienie, w którym stwierdził, że nowa Konstytucja utoruje nam drogę do pełnego zwycięstwa socjalizmu. Uchwalona przez Sejm Ustawodawczy Konstytucja — powiedział Prezydent — „...będzie tarczą i orężem naszego narodu w walce o rozkwit i świetność naszej Ojczyzny — Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”.

W CHWILI, gdy w Sejmie uchwalono Konstytucję Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej — tablica z nazwą „Plac Konstytucji” przywarła do białych murów okalających plac MDM.

W chwili, gdy jeden z posłów cytował słowa chłopca, proszącego o to, by tekst Konstytucji umieścić w twardej oprawnej książeczce, którą do końca życia będzie przy sobie nosił — setki tysięcy młodych chłopców i dziewcząt ustawiało się już do najradośniejszego z marszów, jakie kiedykolwiek oglądała Warszawa.

W kilka godzin po zatwierdzeniu ustawy zasadniczej ludowego państwa polskiego przez przedstawicielstwo narodu — owe setki tysięcy chłopców i dziewcząt, przemierzających warszawskie ulice, głosiło radość narodową w najserdeczniejszym okrzyku: „Niech żyje nasza Konstytucja”.

Triumfalny dzień polskiej historii był pięknym, słonecznym dniem letnim. Przed gmachem Sejmu od wczesnych godzin porannych gromadzili się ludzie. Chcieli oddać cześć Konstytucji, Prezydentowi, członkom rządu. Potem rozspali się po rozświetlonych ulicach, by zobaczyć złotą defiladę. Potem krążyli coraz bliżej placu MDM, by podziwiać ów najpiękniejszy klejnot Warszawy w świątecznym blasku.

Obrazy te nie są symbolami. Wyrażają one zbieżność najbardziej istotną i najbardziej logiczną między naszą Konstytucją a naszym życiem. To ręce budowniczych MDM — wśród milionów innych polskich rąk — tworzą piękne, nowe, sprawiedliwe życie, którego wyrazem są artykuły Konstytucji. To radość i zapał polskiej młodzieży staje się gwarancją ostatecznego zwycięstwa nowego nad starym w naszej Ojczyźnie — zwycięstwa, którego drogowskazem jest Konstytucja. To przy-

mierze narodu z Konstytucją, to owo poczucie, iż jest to istotnie jego Konstytucja, decyduje o nowym stosunku między państwem a człowiekiem w naszym kraju.

Już w swym założeniu nie była ta Konstytucja dziełem zamkniętym w czterech ścianach ustawodawców. Już w fazie ogólnonarodowej dyskusji dotarła do wszystkich krańców Polski, do ludzi, którzy nigdy dotąd nie brali udziału w życiu państwowym. I żadnej z polskich Konstytucji naród polski nie mógł z równą słuszością nazwać **swoją** Konstytucją.

„Po raz pierwszy w historii naszego narodu — mówił Prezydent Bierut — masy pracujące znajdują w krótkich, pełnych konkretnej treści sformułowaniach projektu Konstytucji, tak jasny obraz swego nowego życia, swych zdobyczy, swych osiągnięć, tak wszechstronne urzeczywistnienie swych dążeń”.

Dni, w których naród polski otrzymał Konstytucję, dni, w których młodzież polska ślubowała wciąż lepiej pracować dla Ojczyzny i strzec jej granic przed agresją wrogów Polski i wrogów pokoju, dni, w których budowniczości MDM obdarzyli Warszawę wspaniałym fragmentem socjalistycznego miasta, a uczestnicy Złotu obdarowali ją niezwykłym ładunkiem radości — stają się w naszych oczach historią. Ale nie jest to historia zastygła w martwym kształcie. Jest to siła, która krzepnie po to, by dwoić się i troić. Po to, by poderwać nas do śmielszych i dalszych lotów. Byśmy wypiechali z gorętszym jeszcze zapalem zadania Wielkiego Planu. Byśmy śmiało i głębiej realizowali socjusz robotników i chłopów, ową podstawę naszej Konstytucji.

W oczach naszych tworzy się polska historia. I w oczach naszych rodzi się przyszłość Polski, jasna i szczęśliwa, jak nigdy dotąd.

Fot. W. Stawny



„Nowa nasza Konstytucja ze względu na swą przełomową treść, jak również powszechne jej omówienie w toku dyskusji ogólnonarodowej staje się pierwszą w dziejach narodu Konstytucją polskiego ludu pracującego jako właściwego i rzeczywistego dziś gospodarza kraju, rządzącego się własnymi prawami”.



Siwek mówił spokojnie, beznamietnie wyliczał zalety maszyny, jej solidność, a choć poznał ją dopiero niedawno...

PRZYJAŹŃ

MARIAN NIEWIAROWSKI

TO zdaje się będzie zupełnie niemożliwe ustalić, ile nocy nieprzespanych spędził inżynier Sukacz w ostatnim roku wojny i która z nich była najbardziej niespokojna... Historia tego nie zapisała. Sukacz o tym nie opowiada, my już tego nie obliczymy... Może była to ta, kiedy w noc jesienną dalekobieżny ekspres unosił Sukacza z Uralu do Moskwy? Może ta, kiedy razem z Gorszkowem i Chorinem ujrzeli pierwszy raz gotowe kontury przyszłej wyzwolicielki muskułów, pięknej w swojej prostocie i mądrej w swoim przeznaczeniu maszyny? Ani Gorszkow, ani Chorin nie lubią o tym opowiadać... Na próżno szukacie ich wspomnień — zawarły się w suchym technicznym opisie, przez który trudno przebrnąć... Niesposób doprawdy pojąć, jak można w ta-

kim opisie zmieścić tyle poezji — poezji pracy, swobodnej, twórczej pracy wyhalaczy!

Obywatel radziecki, inżynier i konstruktor A. Sukacz, nie myślał w owych pamiętnych latach o obywatelu polskim z Bielszowic, synu górnik i górnik z zawodu, Fr. Siwku. Poznali się dopiero później, niemal w 8 lat później — w sposób nieoczekiwany, ale tylko tak, jak poznają się przyjaciele. Poznali się — aby się już nie rozłączać.

* * *

To nie było spotkanie z rodzaju tych, które wyglądają w ten sposób:

— Pozwolicie, że się przedstawię, Sukacz jestem.

— Bardzo mi przyjemnie, Siwek jestem.

Potem się ludzie rozchodzą i zapominają o sobie.

Nie, to było zupełnie inne spotkanie. Sukacz jest w Moskwie. Siwek w Bielszowicach. W Moskwie pozostał twórca, w Bielszowicach — jego wspaniałe dzieło.

Jeszcze w grudniu ubiegłego roku stało ono na podwórzu kopalni „Bielszowice”. Ogromne, ciężkie, nieruchawe, zimne. Dziwnie niepokojące — i jak gdyby całe zastygłe w oczekiwaniu.

* * *

Ludzie, którzy od lat pracują przy maszynach, wiedzą, że mają one swój język. Niewtajemniczony — nic z tego nie rozumie. Dla wykwalifikowanego szofera — silnik jest księgą otwartą, dla jego przypadkowego pasażera — ziemią nieznaną. Cichy głos motoru, który domaga się smaru, inaczej brzmi dla maszynisty, inaczej dla przechodnia.

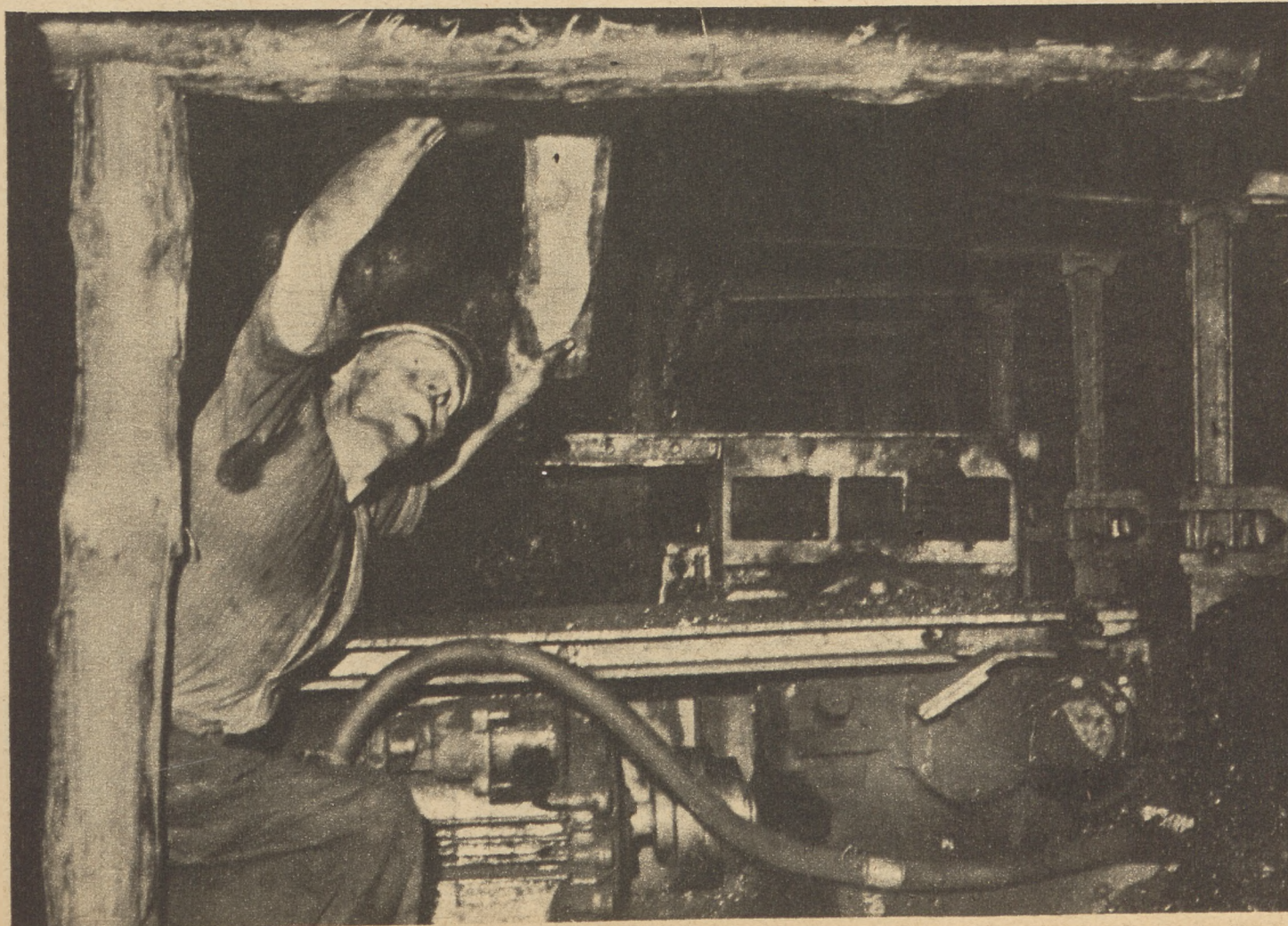
Górnicy, którzy przechodzili owego grudniowego poranka przez podwórze kopalni „Bielszowice”, byli jeszcze zupełnie głusi na mowę tej nowej maszyny. Starzy maszyniści, którzy zęby zjedli na przeróżnych mechanizmach, dla których szczytem techniki były „Sulivanki” — oglądali ją z ciekawością, ale pełni nieufności i niewiary. Co im ona przyniesie? Co ten daleki gość z radzieckich Zakładów Budowy Maszyn w Gorłowie nowego im zwiastuje? I gdzie się to będzie mogło ruszyć na dole?

Jaka szkoda, że nie było wtedy operatora filmowego! Może by uchwycił ironiczne spojrzenia, lekceważące uśmiechy, a nawet szydercze głosy niektórych...

A maszyna zdawała się mówić: „Niosę wam wyzwolenie od ciężkiej, najgorszej pracy w kopalni — od ładowania. Zapamiętajcie sobie — z moim przyjściem znikną wkrótce z waszej kopalni łopaty, zgięte plecy, spocone twarze. Pod warunkiem, że mnie poznacie, że mną mądrze pokierujecie, że mnie pokochacie taką miłością, z jaką mnie tworzył towarzysz Sukacz, który was serdecznie pozdrawia”.

* * *

Z tak samo bijącym sercem, z jakim Sukacz jechał w 1944 roku z Uralu do Moskwy na specjalne wezwanie ministerstwa przemysłu węglowego — w 8 lat później wracał z kursu kombajnistów Siwek do Bielszowic. Kto odgadnie, o czym wtedy myślał trzydziestoletni górnik, który znał wszystkie trudy i radości pięknego zawodu górniczego, który przeszedł już szkołę życia i który — wbrew namowom kolegów — miał za-



Dokończenie na str. 6

PRZYJAŹŃ

Dokończenie ze str. 5

miar teraz rozpocząć wszystko od nowa? Jedno było pewne — znajdował się cały pod urokiem twórczej myśli Sukacza i jego towarzyszy. Schemat radzieckiej maszyny układał mu się z zadziwiającą jasnością w pamięci. Trzy zasadnicze części: napęd, zespół urabiający, ładowarka. Silnik elektryczny o mocy 60 KW, uruchamiający kołowrót z bębniem, a na nim lina stalowa. Posuwa się więc tak, jak zwykła wrębiarka po spodzie pokładu. Potem wrębniak z łańcuchem i wał kruszący. Łańcuch wycina węgiel. Blok węgla obrywa się i pod wpływem własnego ciężaru rozkłada się. Wał kruszący rozdrabnia dalej węgiel. Poprzeczny przenośnik zgrzebiłowy zgarnia ze spągu rozkruszony węgiel. Po ukośnej nachylonej blasze zsypuje się węgiel do przenośnika ścianowego. Kropka. Osiem zdań: owoc długich lat rozmyślań i poszukiwań radzieckiego inżyniera i jego towarzyszy — osiem zdań wyjaśniających budowę kombajnu „Donbass”, który robi rewolucję w polskich kopalniach.

Do Siwka przyjechaliśmy późnym wieczorem w towarzystwie znanego przodownika pracy, który swego czasu osiągnął rekord wydajności na ścianie — ale pracą ręczną, przy pomocy narzędzi i techniki, które wkrótce staną się przeżytkiem. Był to znany rekord, nazwisko przodownika stało się sławne, przyjeżdżali do niego inni górnicy oglądać jego osiągnięcia, badać metodę pracy, przejąć sposoby.

Był to zahartowany w bojach o węgiel górnik, młody wiekiem, ale stary doświadczeniem. I on ciekaw był tej maszyny, i on chciał wiedzieć — co nowego przyniesie?

Była to już rozmowa jak gdyby ludzi z dwóch różnych epok. A mimo to — rozumieć się dobrze. Siwek mówił spokojnie, beznamiętnie, wyliczał zalety maszyny, jej solidność, jej trwałość, a choć poznał ją dopiero niedawno, chciałbym zobaczyć tego, który by zdołał mu ją odebrać. Ten spokojny, beznamiętny ton speszył nas trochę. Co to za sposób mówienia o maszynie, która zastępuje pracę tylu robotników, zwiększa wydajność, daje 440 ton węgla na zmianę, czyli prawie 30 wagonów, niemal pociąg?

— Co wy chcecie — mówi później Siwek — mnie się zdaje, że ja nigdy nie pracowałem inaczej. Pracuję na tej maszynie dopiero pierwszy miesiąc, a to wszystko, co było przedtem — to jak gdyby sen. Jak można teraz pracować przy pomocy łopaty — tego już nie rozumiem. I materiałów wybuchowych nie potrzeba. Jeździmy na dole jak po autostradzie. Ja maszynista, drugi — pomocnik, a z tyłu za nami obudowacze. My posuwamy się naprzód, oni stawiają obudowę, a węgiel leci po taśmie. I bracie, nikt go ręką nie dotyka. Dajemy codziennie prawie 30 wagonów węgla — węgla bez śladu ludzkiej ręki. Co ty na to?

Patrzmy na ręce Siwka. Gdzież się podziały tylokokrotnie opisywana przez pisarzy zgrubiała, posiekana od kęsów ręki górnika, pełna odcisków po łopacie?

— Patrzcie, ja mam ręce, ręce maszynisty, ale ile dają węgla! I wiecie ile zarabiam?

— Ile?

— Dwieście złotych na dniówkę. Co wy na to?

Dawny przodownik pracy, obecnie student Technikum, patrzył na ręce Siwka i milczał.

W chwili, gdy piszemy te słowa, na kopalnię „Bielszowice” przybył drugi kombajn „Donbass”.

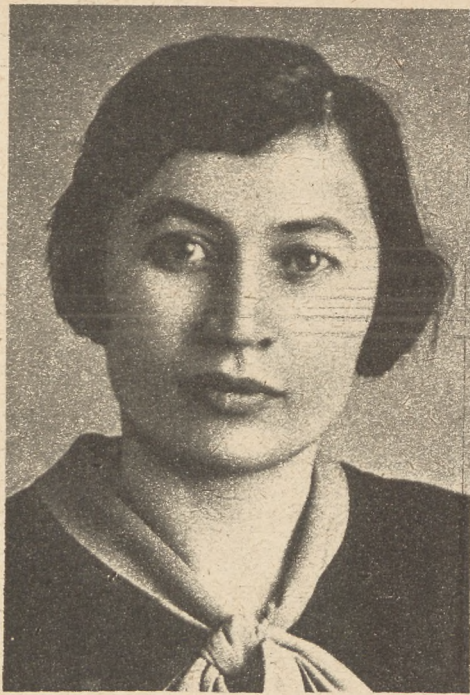
Kinooperator na próżno szukałby ironicznych spojrzeń, lekceważących uśmiechów, szyderczych okrzyków.

Górnicy oglądają maszynę — z szacunkiem, z powagą, z miłością.

Maszyna stoi ciężka, nieruchoma, na pozór zimna.

Ale górnicy poznali w niej gorące serce radzieckiego inżyniera, który z myślą o ciężkiej pracy górników całego świata jechał w jesienną noc 1944 roku z Uralu do Moskwy, aby wyzwolić trud górniczy z niewoli łopaty, z mroku technicznego zacofania.

MARIAN NIEWIAROWSKI



PAMIĘCI BOJOWNIKÓW WOLNOŚCI I SOCJALIZMU



LATA trzydzieste. Do więzienia w Rawiczu nadchodzi przesyłka z Francji. Zawiera książkę naukową wybitnego uczonego, Fryderyka Joliot-Curie, z własnoręczną dedykacją autora „uzdolnionemu uczniowi, Pawłowi Finderowi”. Dygnitarze z administracji więziennej są zdumieni... I cofają zakaz dostarczania książek naukowych Finderowi i innym więźniom — komunistom.

Rawicz nie był pierwszym więzieniem Findera. Paweł jeszcze na ławie gimnazjalnej w rodzinnym Bielsku związał swe życie z ruchem robotniczym. Na studiach we Francji jest już aktywnym działaczem, pracuje w polskim i francuskim ruchu robotniczym, w prasie komunistycznej. Aresztowany na wiecu w Clermont Ferrand trafia Finder w 1928 r. do więzienia i wkrótce po tym zostaje wysiedlony z Francji.

W kraju zaczyna się dla Pawła żmudne, niebezpieczne życie polskiego rewolucjonisty. Finder pracuje na najodpowiedzialniejszych odcinkach: w Warszawie, w Łodzi, w Zagłębiu. Poznaje więzienia wielu polskich miast. W roku 1936 odbywa się proces. Sanacyjny prokurator Piotrowski domaga się wyeksklowej kary dla Findera zwalczającego przyjaźń Polski z „młodą, sprężystą państwem hitlerowskim”. Zapada wyrok: 12 lat.

Gdy w trzy lata później pancerne zagony „młodego sprężystego państwa” miażdżą nasze miasta i wsie, gdy piotrowscy uciekają zaleszczycką szosą — Finder wraz z Nowotką, Buczkim i innymi wydostaje się z więzienia w Rawiczu i staje do walki z najeźdźcą.

Również w roku 1936 trafia do więzienia z wieloletnim wy-

rokiem i w tymże 1939 wydostaje się na wolność Małgorzata Fornalska. Córka chłopca małopolskiego, przechodzi Fornalska szkołę rewolucyjną w szeregach SDKPiL. W latach międzywojennych pracuje w wydziale rolnym i kobiecym KPP, póki jest na wolności — pomaga więźniom.

Lata hitlerowskiej okupacji. Komuniści polscy zakładają w okupowanej stolicy partię, która poprowadzi naród do walki o wyzwolenie społeczne i narodowe — Polską Partię Robotniczą. Wśród najaktywniejszych organizatorów PPR są Finder i Fornalska. W najcięższym bodaj okresie dziejów polskiego ruchu robotniczego towarzyszy „Paweł” i towarzyszą „Jasia” są dla innych przykładem bezgranicznej wierności dla sztandarów Marksa — Lenina, bezgranicznej miłości dla narodu i ojczyzny.

Po śmierci Marceliego Nowotki, pierwszego sekretarza KC PPR, przejął po nim kierownictwo robotą partyjną Paweł Finder. Fornalska jest w tym czasie członkiem KC PPR, jedną z jej najofiarniejszych działaczek. Obok towarzysza „Tomasa” (Bolesława Bieruta) są Finder i Fornalska współautorami Deklaracji Programowej PPR, dokumentu, który wskazał naszemu narodowi drogę wyzwolenia i zbudowania ustroju sprawiedliwości społecznej.

W listopadzie 1943 roku Finder i Fornalska zostali wydani przez prowokatorów w ręce gestapo. Nieludzko torturowani na Pawiaku — nie załamali się ani na chwilę. Zginęli bohaterko, rozstrzelani dnia 26 lipca 1944 roku.

Osiem lat minęło od Ich męczeńskiej śmierci. Dziś klasa robotnicza, cały naród budujący zwały socjalizmu z czią wspomina imiona Tych, co oddali życie za nasze jutro.

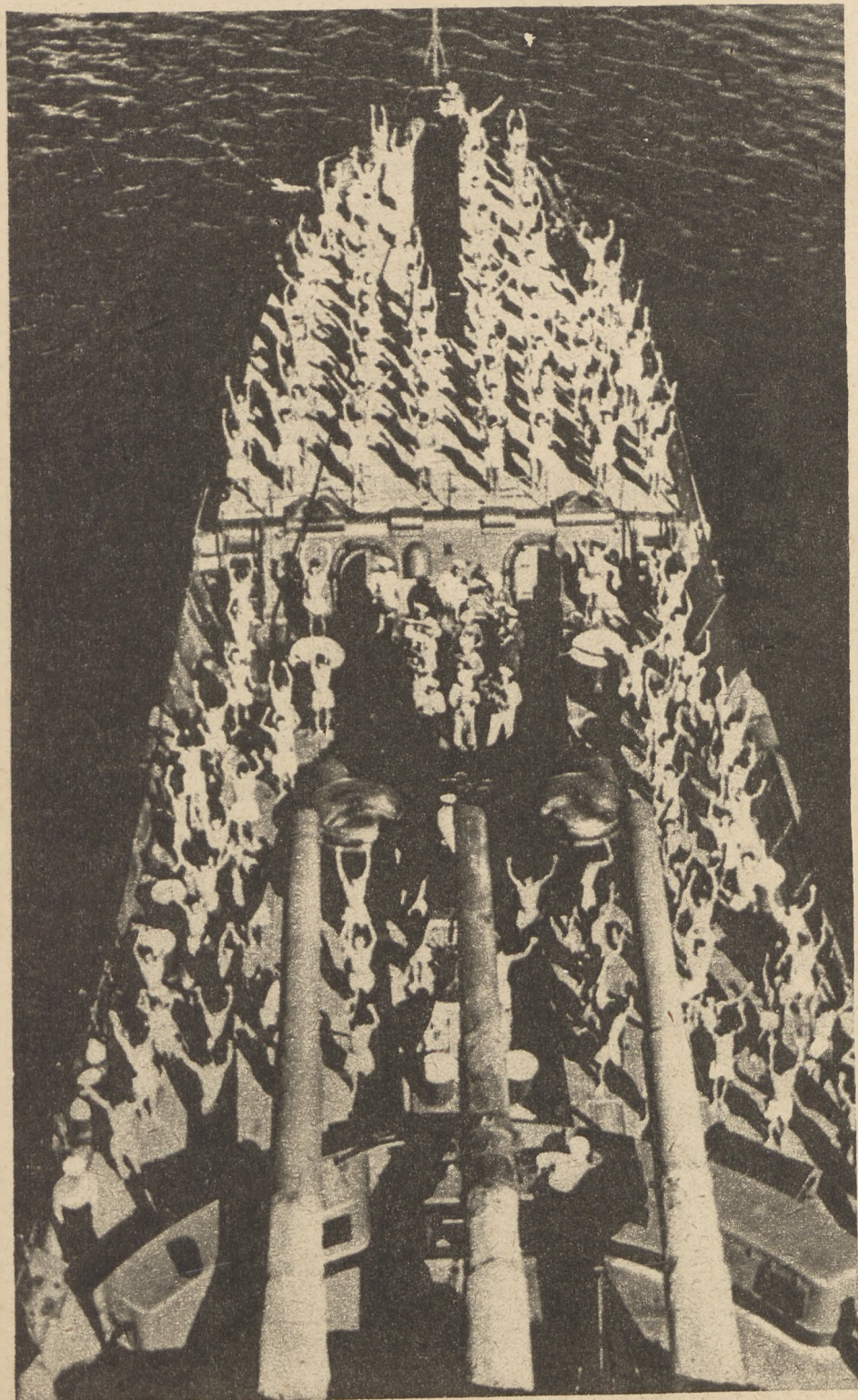
Nad Deklaracją Programową PPR



Rys. Kościelniak

NIEZWYCIĘŻONA FLOTA KRAJU 10 MÓRZ

Tradycje bojowej chwały opromieniają Marynarkę Wojenną ZSRR, której Dzień obchodzony jest uroczyście w Kraju Rad i innych krajach pokoju i postępu. Podczas drugiej wojny światowej „...flota nasza — powiedział Generalissimus Stalin — była niezawodną osłoną skrzydeł Armii Czerwonej, opierających się o wybrzeże morskie, zadawała poważne ciosy flocie handlowej i żegludze nieprzyjaciela i zapewniła sprawne działanie naszych linii komunikacyjnych... Na Morzu Bałtyckim, Czarnym i na Morzu Barentsa, na Woldze, Dunaju i na Dnieprze marynarze radzieccy wpisali w ciągu czterech lat wojny nowe karty do księgi rosyjskiej sławy morskiej. Flota wypełniła do końca swój obowiązek wobec Ojczyzny Radzieckiej“. I dzisiaj wypełnia go również: podnosi na jeszcze wyższy poziom swoją wiedzę o morzu, dyscyplinę swoich szeregów. W nowych, wspaniałych bazach stoją nowe, wysokiej klasy okręty wojenne, wyprodukowane przez radzieckie stocznie — stoją one na straży granic socjalistycznego państwa, na straży pokojowej, twórczej pracy ludzi radzieckich. Otoczona miłością całego narodu Radziecka Marynarka Wojenna umacnia coraz bardziej potęgę kraju 10 mórz, potęgę kraju pokoju i postępu.



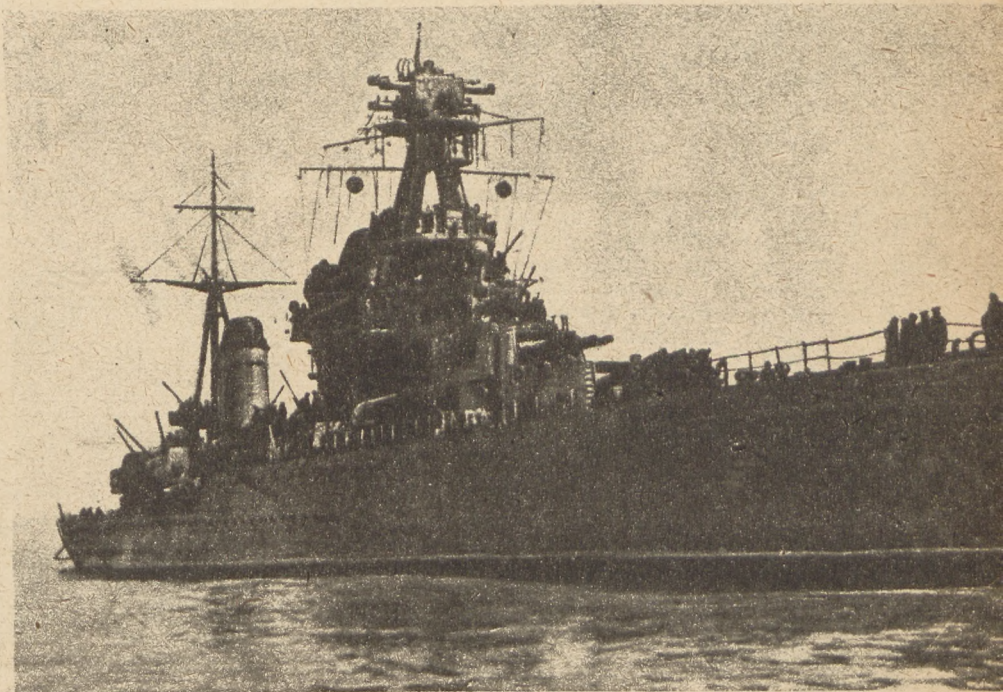
Gimnastyka poranna na pokładzie okrętu. Coraz bardziej wzrasta sprawność bojowa młodych marynarzy radzieckich, świadomych wagi swojej służby.



Szkolenie ideologiczne jest jednym z najważniejszych zajęć załóg okrętowych. Marynarze radzieccy starają się głęboko poznać wielkie idee marksizmu-leninizmu.



W czasie wolnym od zajęć — wesołe rozrywki. Załoga okrętu wojennego bawi się bez troski w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku wobec ojczyzny.



Cieźki krążownik „Woroszyłow“. Stocznie radzieckie budują wysokiej klasy okręty wojenne, stojące na straży wybrzeży kraju 10 mórz, kraju pokoju i postępu.

W pierwszej połowie lipca bawił w Polsce zespół artystów francuskich teatru „Ambigu”. Przyjechali z zakazaną we Francji sztuką „Pułkownik Foster przyznaje się do winy”, którą grali w Warszawie, Łodzi, Krakowie i Wrocławiu. Poniżej zamieszczamy wyjątek ze sztuki i rozmowę naszego przedstawiciela z reżyserem Louis Daquin i kilkoma członkami zespołu.

(Cho każe rozkuć kajdany dwóch złodziei, Lya siada przed maszyną do pisania, Foster podchodzi do niej).

LYA (do Foster): Chciałabym sama zanieść to pismo. Proszę o pozwolenie.

FOSTER: A gdybym wziął to poważnie?

LYA: Młoda dziewczyna nie zwróci na siebie uwagi! Chłopska suknia, chustka na głowie...

(Foster nie odpowiada, patrzy jej w oczy).

Bez maquillage'u, bez pończoch, w zniszczonych bucikach... może jeszcze kwiat zatknięty za bluzkę...

FOSTER: Nie jestem bynajmniej tak pewny, jak bym sobie tego życzył, że zadanie zostałoby wykonane.

LYA (patrzy prosto w oczy Foster): Niech pan spróbuje, pułkowniku Foster, to będzie próba.

FOSTER: Stawka jest zbyt poważna. A nie jestem zupełnie przekonany, że jest pani dostatecznie wyprana z wszelkich uczuć.

MASAN (bardzo głośno): (Zdanie po koreańsku).

FOSTER (do Cho): Czego ten tu się jeszcze drze?

MASAN: Uprzedziłem złodziei, że jeżeli zaniosą wasze pismo — zostaną rozstrzelani jako zdrajcy.

FOSTER: Któż ich wyda?

MASAN: Ja.

FOSTER: Nie. Gdybyśmy byli zmuszeni do odwrotu, zabralibyśmy was z oddziałem... albo kazalibyśmy was rozstrzelać...

MASAN: Jeżeli nie ja, to będzie to ktoś inny...

JIMMY: Zdrajca, który jest w tym domu...

MASAN: Być może, że pan sam ich wyda, pułkowniku Foster, wtedy, kiedy pan z kolei będzie jeńcem. Wyda ich pan, aby uzyskać przebaczenie za to, że kazał pan mnie rozstrzelać. Ale tchórzy nie zbawia nawet ich własne tchórzostwo.

FOSTER: Nawet duma nie odwraca łuf egzekucyjnych plutonów. (Zwracając się do Joego): Odprowadzić tego człowieka do celi.

MASAN: Ale nieczyste sumienie każe odwracać oczy.

CHO: Przewidywałem słuszenie, Foster. Złodziei zwerbował pan już do swej służby, niedługo rozstrzela pan komunistę.

MASAN: Twoja kolej przyjdzie bardzo szybko, Cho Aodi Yang.

CHO: Jesteś dzieckiem, Masan. Czy doprawdy nie widzisz, że cały świat mobilizuje się, by przyjąć mi z pomocą?

Jestem jednym z największych wynalazców świata, moją dziedziną są różnego rodzaju recepty na eksploatację narodów. W Chinach udzielałem lekcji samemu generałowi Marshallowi. Głowa taka jak moja, warta jest o wiele więcej niż miliony ludzi, którzy gotowi są umrzeć w jej obronie.

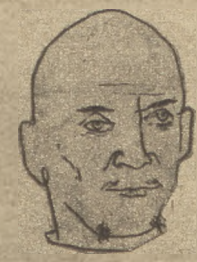
Oto pułkownik Foster. Wydaje mu się godnym pogardy. Ale przeżył cały Ocean Spokojny, żeby pośpieszyć mi na pomoc.

Zgromadzenie Narodów Zjednoczonych zebrało się specjalnie po to, ażeby pomścić afront, jaki urządzono mi, pustosząc mój spichlerz.

W Anatolii, kijami pędzi się chłopów, ażeby zgromadzić ich i uformować armię w służbie mojej sprawy.

Szkockie matki opłakują swych synów, którzy dają sobie wypruwać wnętrzności walcząc z moimi zbuntowanymi tragarzami.

Australijczycy przysyłają mi swoich szturmowych pilotów o wąskim czole, Szwedzi — swoje siostry szpitalne o płaskich piersiach, a Lapończycy zbierają składki na bandaże dla młodych ludzi, którzy odnieśli rany w obronie moich banków.



Rys. M. Rudnicki

O'Brady — Cho Aodi Yang

Włosi uważają za hańbę dla siebie fakt, że nie upoważnia się ich do umierania za mnie i moich bliskich.

150 tysięcy Francuzów bije się, broniąc mego kuzyna z Vietnamu.

Siódma eskadra Stanów Zjednoczonych krąży po chińskich morzach, broniąc mego kuzyna z Formozy.

Mój kuzyn Truman poprzysiął całą ziemię podpalić gdyby ktoś dotknął jednego choćby włosa naszych kuzynów z Niemiec.

Rzymski papież błogosławi przedsięwzięciom naszego rodu, a dziesiątki tysięcy Amerykanów trzudzą się w dzień i w nocy nad produkcją bomb atomowych, które unicestwią wrogów mojej rodziny.

W tym roku, moi przyjaciele, stara kanalia stała się osią, dokoła której obraca się nasza okrągła planeta. Dlatego właśnie ten przegniły świat jest jeszcze dość solidny. Gdyż, pytam was o to, panowie, czy znacie cokolwiek na tej ziemi, co mogłoby powalić starą kanalię?

MASAN: Znamy. Zwykle kopnięcie w tyłek.

(Koniec aktu drugiego)



Na każdym kroku uderzał nas rozmach waszego budownictwa — mówili aktorzy francuscy po zwiedzeniu MDM

Z FRANCUSKIMI AKTORAMI NA MDM

Czekając na rozmowę z Louis Daquin spaceruję pod hotelem „Bristol” z uśmiechniętym młodym człowiekiem pełnym werwy i dynamiki. To Vincent Vial, który w sztuce gra rolę koreańskiego służącego. Opowiada mi pokrótce o swym życiu i studiach. Komunistą; organizator jednego z pierwszych oddziałów „maquis” w Sabaudii podczas wojny, półtora roku w Mauthausen. Jeszcze parę tygodni temu bił się na ulicach Paryża. Tym razem z francuską policją podczas manifestacji w dniu przyjazdu gen. Ridgway'a.

— Mieliśmy wspaniałą podróż — mówi z entuzjazmem — Łódź, Kraków, Wrocław, Zakopane... Jesteśmy zachwyceni...

— A jakie wrażenia z sal teatrów?

— Kraków był może odrobinę sztywny za pierwszym razem. Za to we Wrocławiu czuliśmy pełny kontakt z publicznością od chwili podniesienia kurtyny. Może dlatego, że jest w tej okolicy tak dużo reemigrantów z Francji...

Przed hotel zajeżdża dorożka Loleh Bellon z kolegami. Może dla naszych francuskich gości stara warszawska drynda ma jakiś swoisty urok egzotyizmu, chociaż w pięknej perspektywie Krakowskiego Przedmieścia wygląda w tej chwili jak zeszlowieczny rekwizyt.

Louis Daquin dostrzegł to:

— Przeniesiemy się teraz do innej epoki — pojedziemy na MDM zobaczyć, co się tam zmieniło przez czas naszej nieobecności.

W autokarze śladam koło Loleh Bellon (Lya), która wymachuje pudełkiem z zabawkami kupionymi dla swego pięcioletniego synka.

— Chciałby pan wiedzieć gdzie się uczyłam teatru? W szkole dramatycznej Charles Dullin. Od wojny grałam w sztukach Annouilh'a, a także w „Archipelagu Lenora” Salacrou.

Zajeżdżamy na plac MDM.



Przyjęcie pożegnalne upłynęło w atmosferze... humoru.

— Byliśmy tu 10 dni temu. Można powiedzieć, że wasza Warszawa w oczach rośnie — mówią goście.

Jesteśmy na górze, na dachu ośmiopiętrowego domu. Ostro odcina się biel nowych gmachów na błękitnym tle rozgrzanego nieba.

Goście rozglądają się ciekawie po panoramie Warszawy.

— A tam, w dali, widzicie — pokazuję — Wisła...

Nieoczekiwana salwa śmiechu.

— Wszędzie, gdziekolwiek jedziemy, spotykamy Wisłę — tłumaczy mi Vial. — Nawet mówiliśmy między sobą: „Ci Polacy mają jedną wielką piękną rzekę, ale przynajmniej umieją się nią odpowiednio posługiwać...”

Krzyżują się race francuskich dowcipów. Schodzimy w najlepszych humorach.

Zbliżam się do Louis Daquin.

— Jeszcze jedno pytanie, dyrektorze. Takie bardzo banalne, że aż mi trochę wstyd. Czy jest coś, co Was specjalnie uderzyło podczas Waszej podróży po Polsce, jakiś fakt, zdarzenie, choćby drobne, widok, wrażenie...?

Daquin rozgląda się uważnie po placu. Czuję, że w tej chwili francuski reżyser widzi już w wyobraźni zdjęte rusztowania z białych gmachów, ukwiecone bramy, cały plac „zapięty na ostatni guzik”, radosny, uroczysty.

— Mogłbym odpowiedzieć — mówi zwolna — że najmielszym wspomnieniem będzie dla nas wasza serdeczna polska gościnność. A równocześnie na każdym kroku uderzał nas rozmach waszego budownictwa, śmiałość zamierzeń, a przy tym wszędzie ta sama prawdziwa troska o ludzi pracy... Ale chciałbym sięgnąć głębiej. Otóż wyjadę stąd ze świadomością, że wszystko, co się u Was robi, jest rzetelne. To robota solidna i uczciwa. Czuję się tutaj jakąś atmosferą zdecydowania, która daje poczucie bezwzględnej pewności, ufności w trwałość Waszych zdobyczy... I myślę, że taki klimat zaufania nie byłby możliwy bez rzeczywistego zjednoczenia obywateli wokół własnego rządu. I jeszcze jedno: widać wyraźnie charakter narodowy, który nadaje formę wielkiej socjalistycznej treści Waszej kultury.

* * *

Kiedy po pożegnaniach wychodziłem z ruszającego już autokaru, przyglądający się nam od paru minut dwunastoletni może chłopczyk zebrał się wreszcie na odwagę i podszedł do mnie.

— Proszę pana... kto to byli ci panowie? To zagraniczni goście? Francuzi, prawda? Bo mój kolega mówi, że to Włosi...

— Tak, to aktorzy francuscy. Zwiedzali MDM. Bardzo im się podobała.

— No, pewnie! — odpowiedział malec, a w jego głosie dzwiała nuta przekonania i tej rzeczywistej dumy i pewności, o których przed chwilą mówił Louis Daquin.

ALEKSANDER WOŁOWSKI

POWIEŚĆ O DRODZE POKOLENIA

HIERONIM MICHALSKI

NA ulicznych ekranach marszczących się od wiatru wyświetlano pierwsze reportaże filmowe ze wschodniego frontu. Nad gromadami patrzących ludzi, przy dźwiękach patetycznego wstępu do piątej symfonii Beethovena, wznosiła się w górę lufa olbrzymiego działa niby ręka żelaznego boga... Te zdania z pierwszej strony powieści Bohdana Czeszki „Pokolenie” wprowadzają w atmosferę Warszawy pamiętnego lata 1941 r. W czasie lektury jesteśmy od razu podbici niezwykle darem plastyki i realistycznej konkretności stylu. Ale od razu także przekonujemy się, że chłonna wyobraźnia i iście drapieżny zmysł obserwacji, które wyróżniają talent autora, służą nie tylko wyrazistemu, sugestywnemu utrwalaniu szczegółów i odtwarzaniu atmosfery. Zamierzenie Czeszki jest o wiele bardziej ambitne. Toteż o ile urokiem powieści jest niezwykła barwność opisu, o tyle jej zasadniczy walor stanowi umiejętność jednoczesnego rysowania rzutu ogólnej perspektywy, która pozwala objąć i ocenić właściwy wymiar spraw. Dzięki niej wiadać w powieści wyraźnie i w dostatecznym zakresie wszystko, co charakteryzowało tamte lata próby i walki i co domagało się utrwalenia w pamięci.

Dlatego o „Pokoleniu” można powiedzieć, że jest powieścią, na którą się czekało. Okres okupacji, opisywany już w setkach utworów, był ciągle, mimo wszystko, nie napoczętym nawet właściwie tematem naszej literatury. Pisarzom bowiem, zapałanym przeważnie, poza nielicznymi wyjątkami, na odbicie kształtów koszmara i grozy w przeżyciach jednostkowych, wymykało się to, co było najważniejsze, mianowicie sama historia. Otóż u Czeszki perspektywa spojrzenia jest już inna, szersza. Sięgając po temat w okres okupacji, potrafił on wydobyć prawdę i główny nurt historii tamtych czasów.

Odnajdujemy tu i jako tło i jako sens życia okupacyjnego wielki patos zmagania z hitleryzmem, których decydujące pola bitew wyznaczały fronty Armii Radzieckiej, ale w które wnosił swój udział również nasz naród, kiedy wystąpiła PPR jako przewodnia siła mobilizująca do walki o wyzwolenie narodowe i społeczne. Walka z wrogiem o wolność i wyłanianie się z niej przyszły kształt Polski Ludowej — oto istotna treść powieści. Autor ukazuje sprawę na płaszczyźnie doświadczeń młodego pokolenia. Jesteśmy świadkami powstawania ZWM, który działając pod kierunkiem Partii skupia w swoich szeregach rzesze postępowej młodzieży, rozszerza swoim promieniowaniem i umacnia front walki z okupantem i świadomość ostatecznego celu walki.

Ten wymiar historii i decydujące jej siły udało się Czeszce odsłonić w obrazie o wielkiej artystycznej sugestii. „Pokolenie” jest pierwszą w pełni realistyczną powieścią o życiu i walce okupowanej Warszawy. Taka książka była potrzebna od dawna.

Siła oddziaływania, przyswiadczone żywym i bezpośrednim oddźwiękiem wśród czytelników kiedy jeszcze powieść była drukowana w odcinkach pism, płynnie z prawdy i sugestii zarysowanego obrazu życia i walki okupowanej Warszawy. Akcent położony na doświadczeniach pokolenia, które wkraczało w młodość przez próg okupacji, nie ogranicza bynajmniej zasięgu obrazu, lecz także uwypukla charakterystyczne jego momenty. Czeszko bowiem, pokazując sprawy młodzieży, odsłania wnikliwie wszystkie ich powiązania i zależności od procesów, które w tamtych latach kształtowały oblicze społeczeństwa, wywoływały rozwarstwienia klasowe i określały ich konsekwencje w różnicowaniach poglądów politycznych.

W tym właśnie, że odsłonięte zostały wpływy formujące koleje losów i treść życia młodego pokolenia oraz źródła tych wpływów, zawiera się istota zasadniczego osiągnięcia. Niezwykła trafność wyboru typowych bohaterów i typowych sytuacji pozwoliła ujawnić w opisie jednostkowych doświadczeń prawdę, która posiada wymowę o wiele szerszą i streszcza w sobie sprawy całego pokolenia. Toteż dla uwydatnienia ambitnych założeń powieść mogłaby być opatrzona

podtytułem: drogi i manowce pokolenia okupacyjnego. Czeszko uwidoczniła wyraźnie i osadza mocno manowce, którymi poszły i na które dały się zwieść pewne grupy młodzieży, przede wszystkim jednak zwraca uwagę na właściwą i słuszną drogę młodego pokolenia ku przyszłości Ojczyzny niepodobnej do przeszłości. Na tym polega ideowo-wychowawcze znaczenie powieści.

Drogi pokolenia... widzimy je obserwując wysunięte kompozycyjnie na pierwszy plan losy dwu chłopców: Stacha Kościeja, syna robociarza, i Jurka Koreckiego, syna postępowego inteligenta, terminatorów w zakładach stolarskich braci Bergów na Woli.

Umierający ojciec Jurka przekazał chłopcu następujący testament: „Zrobisz tak: pracuj do końca wojny w warsztacie. Jeśli Partia wznowi akcję, przystąp i ty do roboty, nie żałuj siebie... Partii nie trzeba będzie szukać — gdzie są robotnicy, tam jest Partia”. Istotnie, środowisko robotnicze miało rozstrzygające znaczenie dla ukształtowania drogi Jurka i Stacha. Tu bowiem poznał komunistów. Ci świadomi proletariusze, zarysowani przez autora z pełną wyrazistością indywidualności i charakteru, otaczając chłopców troskliwą opieką, uczą ich tajników rzemiosła i zarazem właściwego stosunku do życia.

Cennym walorem powieści jest prawdziwe i zarazem sugestywne artystycznie pokazanie wpływu przodujących przedstawicieli klasy robotniczej, wychowanych przez KPP. Ich bowiem promieniowanie ideowe i wychowawcze uformowało kierunek rozwoju młodych. Toteż kiedy po okresie niełatwych poszukiwań i mozolnego nawiązywania kontaktów powstaje w styczniu 1942 r. Polska Partia Robotnicza, która mobilizuje wokół siebie wszystkie zdrowe siły narodu do walki o wyzwolenie, chłopcy są już godni powierzonego im przez opiekunów zadania, aby zorganizowali piątkę Gwardii Ludowej.

Wątek odnajdowania przez chłopców właściwej drogi wysuwa się na naczelne miejsce w pierwszej części powieści. Obraz jednak, który rysuje „Pokolenie”, jest szerszy, daje panoramiczny niejako przekrój przez życie poszczególnych warstw społecznych w warunkach okupacji. Poza doskonałą znajomością opisywanych spraw uderza, jak autor, wprowadzając postaci, potrafił nie tylko osadzić je w konkretnej rzeczywistości, ale także ukazać wyraźnie, w jaki sposób kształtuje ona ludzi w rozmaitych sytuacjach i uwarunkowaniach klasowych.

Jest w tym bezsprzeczna zdobycz realistycznego spojrzenia. Więcej — jest w tym zadatek epiki, tak rzadko spotykanej w naszej prozie. Zadatek świetny, sprawdzony wielu niezapomnianymi fragmentami i niezachwiany mimo charakterystycznej dla autora migawkowej niejako metody kompozycyjnej, nie dotrzymany jednak w swoich obietnicach do końca. Czeszko bowiem jak gdyby w założeniu, że pisząc o czasach nie tak odległych powinien raczej odwoływać się do pamięci i wyniesionych z tego okresu doświadczeń czytelników, traktuje wiele spraw w gwałtownych skrótach i często poprzestaje na urywkowym tylko ich znakowaniu. Takie założenia — błędne zresztą, bo zaciemniona fałszami reakcyjnej propagandy wiedza o okupacji wymaga zasadniczego wysiłku wyjaśniającego — odebrały autorowi wrażenie epickiej pełni, a w niektórych partiach ograniczyły nawet obraz przedstawianych spraw.

Odczuwa się to zwłaszcza w drugiej części powieści, która opisuje bohaterką działalność ZWM. Śledząc losy obu chłopców, widzimy, jak w poszukiwaniu kontaktów wśród swoich rówieśników napotykają teraz ślady rozwijającego się pod kierownictwem PPR ruchu narodowo-wyzwoleńczego, wśród nich także początki organizacyjne ZWM. Dla chłopców zaczyna się okres pełny bogatych treści, którymi zasila ich życie odnaleziony główny nurt historii, nurt walki o Polskę niepodległą i socjalistyczną. Karty powieści utrwalają bohaterские akcje przepojonej duchem patrio-

Balszy ciąg na str. 14



FOT. W. WERNER

WĘDRÓWKI SKALNYM SZLAKIEM

...Ruszamy. Jest godzina 9, Tatry są odymione, ale wyraźnie czujemy słońce. W dole — Zakopane: krasnoludkowe domki, sznurki ulic. Wczoraj łaziliśmy jeszcze po Krupówkach, byliśmy nizinnymi szczurami...

Z Chochołowa przez Podczerwone wchodzimy w czarnodunajskie bory. Torf, łąki, piasek, znowu torf i soczysta głębia lasu. Aż oto Ziemia Orawska. Piekienik. Pierwszy nocleg w stodole na sianie.

Świt przynosi pogodę. Tatry widne na południu, świeże, prześwietlone wschodem. Marsz jest przyjemny. Polne ścieżki wyprowadzają na grzbietową osadę Studzienki, z której schodzimy do Orawki. Piękny jest drewniany stary kościół, w którym niedawno młodzi adepci sztuki konserwatorskiej przeprowadzili renowację cennej ludowej polichromii.

Wieczorem schodzimy do Zawoi i lokujemy się w niedawno otworzonym ośrodku wypoczynkowym „Orbisu”. Jest ciepła woda do mycia, świetne mleko, potem obiad. Zakopiański rejon ośrodków wypoczynkowych „Orbisu” sprawnie zorganizował naszą wędrowkę wczasową. Dziękujemy gospodarzowi w Zawoi i — w czwartym dniu jesteśmy już w Rabce-Zdroju, w następnym ośrodku orbisowym.

Idziemy teraz w Gorce. To chyba najpiękniejszy odcinek naszej włóczęgi: Rabka — Stare Wierchy — Turbacz — Przełęcz Knurowska — Lubań — Krościenko. Wieczór w szalasie zeszedł na gwarzeniu o wielkim gaździe tej ziemi, Władysławie Orkanie. Świtem, o trzeciej rano, zagłębiliśmy się w gorczańską puszcę.

A potem — Krościenko, znów pensjonat „Orbisu”, znów „powrót do cywilizacji”. W Szczawnicy biwak. Z wczasowiczami ośrodka szczawnickiego słuchaliśmy prelekcji zatytułowanej „Uśmiech Tetmajerowski”, wieczorem byliśmy na czarnej kawie.

A oto już zbliża się koniec naszej wędrowki. Przez Dziadkówkę i Galicową Grapę, brązowi od słońca, syci niecodziennych wrażeń schodzimy do Poronina. Zwiedzamy Muzeum Poronińskie, muzeum poświęcone Temu, który przemienił oblicze świata, słuchamy o pobycie na skalnej ziemi Włodzimierza Lenina.

Za godzinę jesteśmy już na Harendzie w muzeum imienia Jana Kasprowicza. W czternastym dniu wczasów wędrownych — wchodzimy do Zakopanego, z którego wyruszyliśmy w skalny świat.

Spotkamy się znowu za rok, na wczasach wędrownych. A zatem — do zobaczenia!

S.



Fot. W. Werner

Ile wrażeń wynosi każdy uczestnik wczasowej wędrowki! Okolice górskie dają natchnienie malarzom, muzykom, poetom, każdemu człowiekowi pracy przy-



W czwartym dniu wędrówki dotarliśmy do zamku w Czorsztynie. Tutaj chłopcy pod wodzą Kości-Napierskiego toczyli krwawe walki o wyzwolenie spod tyranii panów.



Co za świetne mleko! Na biwaku w Chochotowie nikomu nie brakowało apetytu. Stąd polnymi ścieżkami pomaszzerowaliśmy do Orawki, a później na Babią Górę.



noszą pełny wypoczynek. Po czternastu dniach marszu żegnaliśmy te strony z prawdziwym żalem i obiecaliśmy sobie, że w przyszłym roku znowu się tu spotkamy.



W szałasie na hali pod Turbaczem spędziliśmy wieczór przy wotrze. Rozmawialiśmy niemal wyłącznie o niezapomnianym piewcy tych stron — Władysławie Orkanie.



Obiad w pensjonacie „Morskie Oko” na Bukowinie Tatrzańskiej był bardzo dobry. Wczasy wędrówne zorganizowane są przez „Orbis” naprawdę wzorowo.



Z Diablaka, najwyższego szczytu Beskidu Wysokiego, patrzymy ku Tatrom, obejmujemy wzrokiem podhalańską i orawską ziemię, którą niedawno jeszcze szliśmy.



Kabinę samolotu zamknięto. Wszystko gotowe do startu. Za chwilę lotnicy Zarucki i Pawlaczek uniosą się w powietrze.



Nie dość samemu znać się na rzeczy, Kazimierz Słusarczyk, wzorowy oficer, członek ZMP szkoli swych kolegów.
Fot.: W. Sławny i WAF

NIEWĄTPLIWIE Leonardem da Vinci i Mołajskim, a być może i innymi wynalazcami kierowały jak najszlachetniejsze myśli, a jednak imperializm szybko wykorzystał ich pracę do mordowania ludności cywilnej, do mordowania matek i dzieci. Jak daleko zająć może zwyrodnienie ludobójców, daje pojęcie wojna koreańska, w której lotnicy amerykańscy dawno już prześcignęli swych hitlerowskich nauczycieli.

Walki w Korei i naloty amerykańskie na Chiny uczą, że imperialistów ogarnęło szaleństwo i że dlatego w każdej chwili pokój może być zagrożony. Aby z powietrza, znienacka i bez dostatecznej obrony nie spadły na nas nigdy bomby amerykańskich gangsterów i ich europejskich pomocników, czuwa i rozwija swe siły polskie lotnictwo ludowe. „Obrona Ojczyzny jest najświętszym obowiązkiem każdego obywatela” mówi 78 artykuł naszej Konstytucji, a Ojczyzna jest również nad nami.

Z bojowości znani są nasi lotnicy w całym świecie, a ostatni zjazd racjonalizatorów wojsk lotniczych wykazał, że nasi żołnierze i oficerowie posiadają również wysoki zmysł wynalazczości. Do warsztatów w jednostkach lotniczych i w szkołach przeniesiono wszystkie ich doświadczenia i zdobycze. Nowe, młode kadry lotnicze przyswoją je sobie pogłębiając w ten sposób i tak już dobre wyszkolenie bojowe i techniczne.

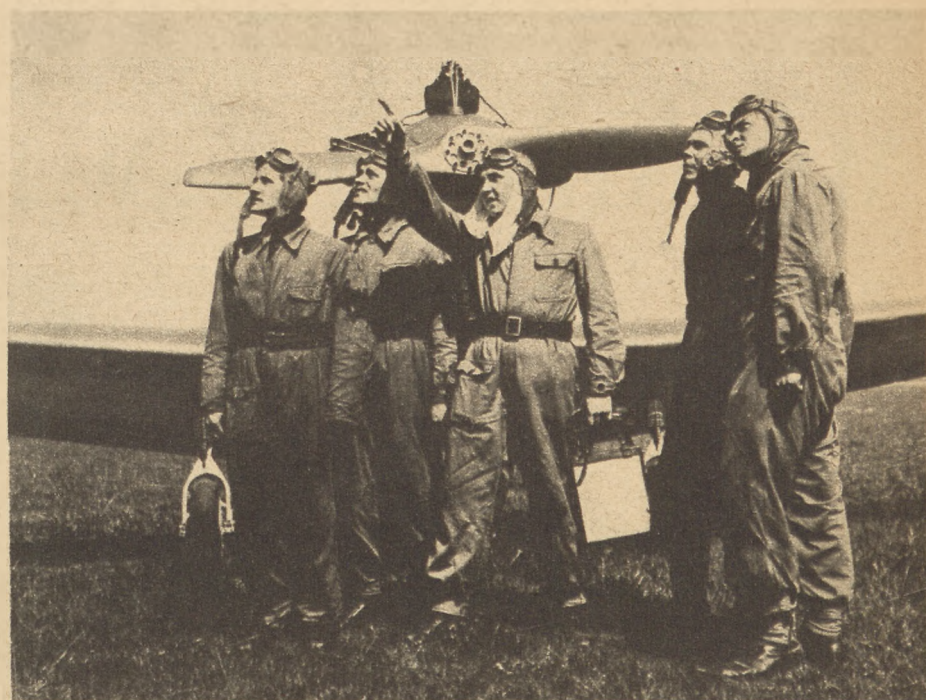
Narody świata — i te, które są już wolne, i te, które nie zrzuciły jeszcze z siebie jarzma kapitalizmu i kolonialnego wyzysku, walczą o swe prawo do życia i twórczości — o pokój. Do krajów tych należy również Polska, a Prezydent Bolesław Bierut powiedział: „Minął i nie wróci nigdy wrzesień 1939 roku, minęła i nie wróci nigdy hańba bezsilności naszego kraju wobec najeźdźców”. Na Zlocie Młodych Przodowników, obserwując popisy lotnicze, mogliśmy spostrzec jakie pokrycie mają te słowa. Polska u boku potężnego Związku Radzieckiego stanowi niewątpliwie jedno z mocniejszych ogniw wielkiego światowego obozu pokoju.



NAMI JEST OJCZYZNA



Ruch racjonalizatorów wzrasta. Przewodnicy wyszkolenia, Stoleński (ZMP) i Cybulski, nową treścią wypełniają gablotę racjonalizatorów w jednostce wojskowej.



Czesław Filonowicz, instruktor pilotażu, ze Złotu w Warszawie wrócił do pracy wśród lotników podchorążych. Wskazuje ręką: „Tak należy wychodzić z korkociąga”



Motor — to serce, którego stan określić można z warkotu. Podchorążowie pod kierownictwem Zbigniewa Dziedzica poznają każdy szczegół budowy motoru.



Na powitanie kolegów i koleżanek z kraju, młodzież polska z Francji tłumnie wyległa na oba pokłady statku „Batory“

MAGNIFIQUE — „W DESECZKĘ“

PRZYSTAN już na godzinę przed przybyciem statku szczerze wypełniła się młodzieżą z obozów letnich we Wrzeszczu, Sopocie, Orłowie i w Gdyni. Jak zwykle, powrót „Batorego“ zgromadził również mieszkańców miasta i rodziny marynarzy. W oczekiwaniu pełno było niecierpliwości, wyciągano szyje, aby poprzez holowniki zobaczyć, czy nie ukazuje się tak dobrze znana sylwetka tego najpopularniejszego polskiego statku. Ale „Batory“ był punktualny co do minuty, dopiero o 9 przybił do brzegu i dał się uwieźć na konopnych cumach.

Gdy mocowano trap, wiodący ze statku do Kapitanatu Portu, nastąpiło spontaniczne, owacyjne powitanie. W każdym okienku, na dolnym i górnym pokładzie głowa przy głowie, chorągiewka przy chorągiewce. Niektórzy dojrżeli starych znajomych, tych z ubiegłego roku i z dala, przekrzykując gwar tłumowi, umawiali się o spotkanie na portowym dworcu.

Czekały tam wygodne wagony kolejowe i autobusy, młodzież polska z Francji jechała bowiem dalej, nie tylko do uzdrowisk nadmorskich, ale i w góry, do Zako-

panego i na Dolny Śląsk. Grupa dziewcząt z okręgu paryskiego i z Francji północnej trafiła do Domu Dziecka w Sopocie. Z dziewczętami z kraju zaprzyjaźniły się natychmiast. Pogłębiają z nimi znajomość języka polskiego, nie zrażają się trudnościami wymowy, proszą tylko o poprawianie błędów.

— Chcemy mówić po polsku, jak wy! — zapewnia Janina Karcz.

Pluszczą się w wodzie, tańczą, głośno wykrzykują. Istotnie, po tygodniu nie słyszy się już tak częstego, jak w pierwszych dniach, używania słów francuskich. Pozostał tylko okrzyk zachwyty — magnifique!

Łucja Gospodarczyk pragnie i radość wyrażać po polsku; pyta Janiny Kurki: — Jak mówić zamiast „magnifique“?

— W deseczce! — bez namysłu odpowiada Jasia.



Do Sopotu droga była niedługa i nienużąca, a tutaj przybyłymi zaopiekowało się już miejscowe koto ZMP

Łucja przez chwilę się zastanawia, a później głośno mówi:

— W deseczce jest tu u was w Polsce! Mamy nadzieję, że wszystkie dzieci polskie z Francji wywiozą z naszego kraju to samo wrażenie.

Tekst i zdjęcia: TADEUSZ SARNECKI

„Magnifique! Magnifique! — kąpiąc się wykrzykiwały dziewczęta z Francji, lecz teraz nie powiedzą inaczej, jak — „w deseczce“ jest to nasze polskie morze“



Jest i znajoma z turnusu zeszłorocznego. Serdecznym powitaniami nie było końca.



POWIEŚĆ O DRODZE POKOLENIA

Balszy ciąg ze str. 10

tycznym młodzieży. Czeszko wykorzystuje tutaj autentyczne fakty walki prowadzonej przez GŁ. Autentyczne także są dalsze postaci, które autor wprowadza. Są to bohaterowie naszego ruchu oporu, jak Hanka Sawicka i Janek Krasicki, pierwsi kierownicy ZWM, i wielu innych nieugiętych bojowników, którzy przypiętutowali bohaterstwem i krwią wielki cel walki o wolność i sprawiedliwość.

Niestety, ten autentyczny materiał z historii ZWM, stanowiący najpiękniejszą rozdział historii młodzieży polskiej, powieść zarysowała nazbyt skrótowo. Wprowadzić na usprawiedliwienie autora można dodać, że nie pisał on powieści o historii ZWM, ale w tym wypadku charakterystyczna skrótowość i urywkowe zarysowanie postaci i sytuacji, ogólna wstrzemięźliwość wynikająca jakby z obawy, aby pisząc o wzniosłym i bohaterskim okresie nie popaść w patetyczność — nie pozwoliły na stworzenie bardziej pełnego obrazu, jakiego zresztą oczekiwaliśmy od Czeszki, świadka i uczestnika walki, obrazu ludzi i czynów, które przeszły do najwspanialszych tradycji naszej młodzieży.

Właściwe zamierzenie powieści — chęć uwydatnienia historycznej i ideowo-wychowawczej roli ZWM, który idąc śladami Partii czerpał swoją siłę z ścisłego związku z sprawami narodu — udało się Czeszce zrealizować w sposób, który nadaje kartom „Pokolenia“ ogromne znaczenie. Widzimy tu na wielu ujmujących swoją prawdą przykładach, jak pogłębiająca się świadomość ideologiczna kształtuje rozwój ludzi na płaszczyźnie zarówno politycznej, jak i moralnej, dając im pełnię humanizmu i moc charakteru, która pozwala sprostać w najtrudniejszych próbach. Obraz wzrostu wewnętrznego ZWM-owców należy bez wątpienia do najcelniejszych osiągnięć powieści.

Czeszko ukazuje również przedstawicieli tych odłamów młodzieży, które wskutek specyficznych warunków okupacyjnych bądź otumanienia zeszyły na manowce. Tylko przez samo zestawienie dróg i bezdroży, nie uciekając się wcale do komentarza, wydobywa autor uderzającą różnicę i oddziaływa jej wymową jak najostrzejszym oskarżeniem przeciw tym, którzy powodowani egoistycznymi interesami klasowymi dla wygrania swoich antynarodowych rachub politycznych ograbili część młodzieży z treści jej młodości.

Pasja oskarżenia, przewijająca się przez powieść jako wtórny motyw, obok chęci ukazania zasadniczej siły kształtującej drogę pokolenia, nabiera wyrazu wyjątkowego nateżenia w części trzeciej, która opowiada o dniach odwrotu hitlerowców, wybuchu, przebiegu i upadku powstania w Warszawie. Zawsze uchwytne i konkretny w powieści wymiar spraw historycznych pozwala autorowi naświetlić wyraziście tło polityczne wybuchu powstania i działających za jego kulisman pobudek zdrady narodowej. „Co im Warszawa — mówi jeden z bohaterów — co im ludzie... Rzuć w ogień wszystko, wszystko, żeby ocalić swoje koryto, swoje pieniądze, żeby nie dopuścić do tego, by człowiek na naszej ziemi podniósł głowę“.

Równie mocno zaznaczona jest postawa AL-owców: „Będziemy bronić miasta. Będziemy bronić ludzkiego życia“. Tragedia walczącej się w grzyby Warszawy znalazła tu wstrząsające w swojej wymowie świadectwo. Czeszko, opowiadając o bohaterstwie AL w obronie stolicy i walczących w jej szeregach młodzieżowych oddziałów Czwartaków, nie pozwala zgubić z oczu ostatecznego celu walki. „My tu jeszcze powrócimy kiedyś. I wy wróćcie, i ja. Ci z Londynu nie zobaczą już nigdy Starówki. Ale my tu jeszcze powrócimy“ — mówi do ludności jeden z bohaterów, kiedy oddziały powstańcze musiały opuścić Stare Miasto. Te słowa, wyrażające zahartowaną w bojach świadomość walki o słuszną sprawę, którą jest niepodległość i sprawiedliwość, stanowią dopełniający akcent treści ideowej przenikającej całą powieść.

HIERONIM MICHAŁSKI

Bohdan Czeszko: „Pokolenie“. Spółdzielnia Wydawnicza - Oświatowa „Czytelnik“. Warszawa. Str. 247.



Przedmieścia są dzielnicami nędznych baraków. W Porcie Lyautey wodę czerpie się z prymitywnych studni, czekając nieraz godzinami na swoją kolej.



„Bank Maroka” — symbol imperialistycznej przemocy. Z tą elegancką dzielnicą pałaców i białych willi sąsiadują czarne ulice, gdzie gnieździ się nędza.



Robotnicy Maroka walczą. Uczestnicy zebrania związkowego w Bouzniba wiedzą, co oznacza niewola i głód; zarobki za ciężką pracę ledwie wystarczają na życie.

MAROKO

JULES LAMARRET

Korespondencja własna „Świata” z Rabatu

Położenie Maroka w Afryce Północnej jest szczególne. Kraj ten ma dwie twarze: jedną zwróconą ku Oceanowi Atlantyckiemu, drugą patrzącą na Morze Śródziemne. Dominuje nad cieśniną Gibraltarską, jednym z najważniejszych skrzyżowań morskich szlaków.

Mieszkańcy Maroka są biali, a w niektórych częściach kraju mają nawet jasne włosy i niebieskie oczy. Zasadniczy trzon ludności jest co prawda pochodzenia berberyjskiego, ale zmiany związane z podbojem arabskim w VII stuleciu, połączenie się grup ludnościowych, oraz wspólne warunki ich życia i wspólna religia — muzułmańska — nie pozwalają już dzisiaj stwierdzić z pewnością pochodzenia poszczególnych szczepów. Wzmianki demograficzne mają tu zresztą znaczenie drugorzędne.

Bardzo ważne jest to, że do roku 1912 — to znaczy do podboju francuskiego — Maroko było samodzielnym państwem. Miało swoją prawną osobowość, rząd sprawujący władzę nad całym terytorium, jednolitą administrację, zorganizowane siły wojskowe, scentralizowane sądownictwo, rządowe przedstawicielstwa za granicą.

Jest to jeszcze jeden powód, dla którego lud Maroka nigdy nie uznał i nie uzna traktatu o protektoracie, oznaczającym również likwidację państwowej jedności kraju. Narzucenie protektoratu francuskiego przyniosło bowiem rozczłonkowanie Maroka na wiele stref:

Dokończenie na str. 20



„Amerykański styl życia” wdarł się także i do Maroka. Zbudowano bazy wojenne, a głodująca ludność ogląda codziennie barwne reklamy „Coca-Cola”.



Napis na murze — dowód penetracji koncernów USA.



Charakterystyczny pejzaż marokański: mury fortecy w słońcu — i młócenie zboża jak przed wiekami.

fotokorespondenci donoszą

POWSTAJE WIELKI KOMBINAT RYBACKI

Od kilkunastu miesięcy w ład świnoujskiego portu wrzyna się nowy basen. Od kilkunastu miesięcy do basenu tego wpływają rybackie trawlerzy wioząc w ładowniach setki ton ryb złowionych na Bałtyku i na Morzu Północnym.

Przed siedmiu laty było tam zupełnie martwo. Wraki zatopionych statków, rozbite falochrony zagradzały drogę do portu. Lecz z odzyskaniem Świnoujścia znaleźliśmy się bliżej bogatych łowisk i dlatego rozpoczęto tu budowę Bazy Rybołówstwa Dalekomorskiego.

W lipcu ub. roku świnoujskie przyjęło pierwsze trawlerzy. To, czym może się pochwalić baza już dziś — ów basen z chłodnią i przetwórną — to dopiero początki rybackiego kombinatu; zakończenie prac w świnoujskim porcie rybackim wybiega daleko poza Plan 6-letni.

Obok potężnego gmachu chłodni stanie tu rządem 6 fabryk — przetwórci. Będą to: wędzarnia, fabryka konserw, fabryka kleju oraz mączki rybnej, a wreszcie fabryka hormonów oraz garbarnia rybich skór.

Zdziwi się ktoś: jakże to — fabryka hormonów i garbarnia w jednym kombinacie rybackim? A tak! W „fabryce” hormonów biologowie będą uzyskiwać ze świeżo złowionych ryb cenne substancje biologiczne. Natomiast w garbarni przedmiotem obróbki stanie się skóra pochwytowa dorsza — w ichnologii zwanej wężowizmem. Skóra ta jest dość gruba i doskonale nadaje się na wyroby galanterijne. Kto wie, czy za kilka lat nie będą ostatnim krzykiem mody właśnie damskie pantofle z dorsza? Ale na to trzeba kilku



Świnoujście, fragment portu rybackiego

lat cierpliwości i wyteźonej pracy.

Wracając z połowu statki prawie zawsze wymagają choćby drobnej naprawy. I oto, kiedy ostatnie ryby powędrują transportem z ławny trawlerza do przetwórci, na statku zjawi się brygada z Rybackiej Bazy Remontowej, która przeprowadzać będzie nie tylko drobne naprawy, ale i kapitalne remonty, a nawet podjąć się budowy nowych kutrów.

A teraz o Domu Rybaka. Otóż w maju br. rybacy otrzymali piękny, nowoczesny dom. Kiedy wracają z połowu, zamieszkują w wygodnych pokojach, w świetlicy słuchają radia, grają w szachy, czytają książki i czasopiśma. A

tym przyjemniej w tym Domu, że jego kierownictwo troskliwie dba o swoich mieszkańców.

Na zakończenie kilka cyfr. W roku 1936 rybacy polscy złowili 23.000 ton ryb — w tym samym roku połowy Holandii wyniosły 232.000 ton, Szwecji 112.000 ton. W roku 1948 rybacy nasi mogli się już pochwalić pół setką tysięcy ton ryb.

W roku 1955 — w ostatnim roku sześciolatki — liczba ta ma osiągnąć 160.000 ton (w tym 89.000 ton z rejsów poza-bałtyckich).

Aby liczba ta stała się rzeczywistością, potrzeba nam nowych portów, nowych chłodni, nowych trawlerów.

Maciej Ziemiński

SZCZAWNŌ ZDRŌJ

Pierwszą pracą, którą należało przeprowadzić, była sprawa odizolowania źródeł mineralnych od rozciągających się wód słodkich. Sto lat temu przepływał bowiem przez SzczawnŌ potok zwany Soliczką i osiadał procesy mi-

cyjna” stanowił tu muł, zwieziony z dna Bałtyku.

Uzdrowisko nie zdobyło sobie wszakże popularności. Dolny Śląsk leżał z dala od głównych szlaków komunikacyjnych i dlatego w czasie wojny jeździł tu „dla wytchnie-

ne dla górników, włóknarzy i stoczników. Dom Zdrojowy przeszedł również na usługi ludzi pracy i świata nauki.

SzczawnŌ znŌw staje się coraz bardziej znane, odwiedza je coraz więcej ludzi. Nie jest to wszakże rozgłos hałaśliwy. Tak jak nie jest hałaśliwa praca licznych ośrodków naukowych, które obrały sobie za siedzibę to stare, zaciszone, uzdrowiskowe miasteczko.

Tutaj w Domu Zdrojowym mamy Ośrodek Kliniczny Kliniki Urologicznej z Wąrzawy, gdzie przy pomocy „DąbrŌwki” rozbija się kamienie pęcherzowe i wątrobowe oraz leczy ciężkie stany zapalne.

Piętro niżej w tym samym gmachu mieści się kliniczny ośrodek astmatyczny. Prowadzi on szerokie badania nad możliwością zwalczania astmy zupełnie nowymi środkami.

W malowniczym parku szczawnickim, wśród rozkwitłych rododendronŌw, mieści się ośrodek przeciwpłucowy, a nieco dalej, w stylowym budynku, znajduje się Zakład Balneotechniczny, który dzień w dzień bada wszystkie źródła w Polsce — i te, które widnieją już na mapach balneologicznych i te, które odkryto zaledwie wczoraj, a już jutro zaczną pracować dla dobra ludzi pracy.

SzczawnŌ ZdrŌj — niegdyś małe, trzeciorzędne uzdrowisko, tętni dziś życiem i tworzy pracę.

Zbigniew Mosingiewicz Wałbrzych



Sanatorium zajmuje jeden z najładniejszych i największych gmachŌw w Szczawniu. W pięknych, widnych salach znajdują się dwa ośrodki uniwersyteckie, badające schorzenia urologiczne i astmatyczne.

neralizacji. Praca — dziś łatwa — w owym okresie, gdy o mechanicznych koparkach nikomu się jeszcze nie śniło — wymagała wiele trudu i kosztŌw. W końcu jednak, posilując się samymi łopatami i wozami zaprzęganymi w konie, koryto rzeźnicę przeniesiono i ujściu źródeł mineralnych „Mieszka” i „DąbrŌwki” zabezpieczono. „Masę izola-

nia” Adolf Hitler z Ewą Braun. Wtedy i „elita” Trzeciej Rzeszy odkryła, że miejscowe wody mineralne są wyjątkowo skuteczne na schorzenia wątroby i nerek.

Po wojnie gospodarzem Szczawnia Zdroju została klasa robotnicza. Eleganckie wille, ukryte pośród starych płątnŌw i pysznych oranżerii, zajęto na pawilony sanatoryj-

6 TYSIĘCY WIDZŌW NA PRZEDSTAWIENIU TEATRALNYM

Codziennie sala do ostatniego miejsca wypełniona była widzami, choć przedstawienia sztuki Ostrowskiego „Ostatnia ofiara” odbywały się w czasie od 22.30 do 1 w nocy.

Gdzie są tak wytrwali miłośnicy teatru, których nie odstrasza ani tak pŌzna pora (sztuka idzie w sali kinowej dopiero po ostatnim seansie filmowym), ani zmęczenie?

W jednym z miast łódzkiego województwa przemysłowego, w Pabianicach.

Publiczność Łodzi i jej okolic zawsze zresztą wiele zainteresowania okazywała sztuce, w tym wielkiego dramaturga Rosji. Na zakończenie sezonu teatralnego kilka z nich jednocześnie grają łódzkie teatry, nie mogą się jednak skrzyżnić na brak frekwencji.

W ciągu ostatnich tygodni oglądaliśmy „Burzę”, wystawioną przez Teatr Nowy, „Bankruta” granego w teatrze im. Wojska Polskiego i „Ostatnia ofiara” w wykonaniu zespołu Wojewódzkiego Teatru Ludowego.

Sztuka „Ostatnia ofiara” reżyserował Wacław Scibor. Wśród wykonawcŌw spotykamy nazwiska Sempolińskiego,



Fot. A. F. Kaczkowski

M. Malicka i Z. Nowicki jako Kruczynina i Dudukin w „Grzesznikach bez winy”

Hanusza, Cypriana, Jabłonowskiej, Cieszkowskiej... Reżyser w skromnych warunkach sceny objazdowej doskonale odtworzył klimat sztuki Ostrowskiego, stworzył kapitalną galerię typŌw.

Widownia teatralna — jak już wspominałem — na każdym spektaklu wypełniona są po brzegi — wciąż napływa wiele zapotrzebowania na przedstawienia zamknięte dla załŌg fabrycznych. Na takie zamówienie grano w hali sportowej WIMa „Ostatnia ofiara”. Ta ogromna sala zmieściła w ciągu jednego dnia 6.000 widzŌw... Frekwencja to — jak na łódzkie warunki teatralne — naprawdę niecodzienna.

Podobne zamówienia napływają dalej, i to nie tylko z łódzkich zakładŌw pracy, ale i z Aleksandrowa, Zgierza, Żduńskiej Woli. Toteż Wojewódzki Teatr Objazdowy dociera do najdalej połoŌzonych miejscowości województwa łódzkiego, a częściowo i kieleckiego.

P. Juriew, Łódź

PIĘĆ LAT LICEUM TECHNIK PLASTYCZNYCH W NOWYM WIŚNICZU

Gdy przed niespełna sześciu laty prof. Stanisław Fischer rzucił śmiały myśł zorganizowania w Nowym Wiśniczu szkoły średniej, znalazło się wielu takich, którzy przyjęli ten projekt z uśmiechem

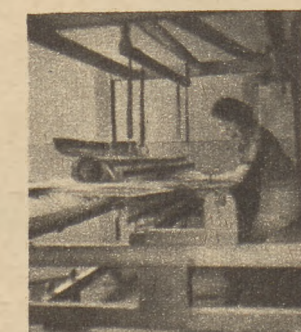


UczniŌwie szkoły „gruszkami” zdobieg talerze w barwne motywy ludowe.

współzucia. Minelo kilka lat i jednak Wiśnicz, miasteczko połoŌzone w pobliżu Bochni jest siedzibą pięknego Liceum Techniki Plastycznych. W tym już roku pierwszy absolwent opuścił je z dyplomami dojrzałości w rękę.

Ale ważny jest nie tylko sam fakt zorganizowania takiej szkoły w tej części województwa krakowskiego, ważny jest również problem sztuki ludowej, który w tej właśnie szkole znajduje pełny wyraz. Mogli się o tym przekonać widzowie, zwiedzający tegoroczną wystawę prac uczniŌwskich, bilansującą pięcioletnie działalność Liceum.

W każdym dziale na pierwszy plan wybija się właśnie tematyka ludowa. Poczynając od barwnych wzorŌw skrobni-cze ornamenty i wzory tkac-



Przy warstwach tkackich powstają tkaniny zdobnicze i użytkowe.

FOTOGRAFLA NA CODZIEN

A teraz porcja matematyki, która pozwoli nam wyjaśnić rolę przysłony, „magię” jej cyfr, wyrytych na obiektywach naszego aparatu.

Gdy mówimy „4,5”, lub „5,6”, czy „6,3”, cyfry te są skrótem pełnego oznaczenia matematycznego: 1:4,5, 1:5,6, 1:6,3. Wyrażające stosunek liczbowy średnicy obiektywu do odległości jego od płaszczyzny negatywu. — Wyobraźmy sobie, że nasz aparat to pokŌj, na ścianach którego znajduje się z jednej strony negatyw, z drugiej zaś — okno, jako obiektyw. Gdy okno to jest małe, lub częściowo przysłonięte, ściana zaś przeciwnie bardzo oddalona — niewiele tylko światła padnie na emulację negatywu i trzeba będzie stosunkowo dłuŤo ją naświetlać, ażeby wytworzyć w niej poŷądany obraz fotograficzny. Przeciwnie — gdy ściana jest blisko, okno zaś wielkie — światła padnie dłuŤo.

Ten właśnie stosunek wielkości okna (średnicy obiektywu) do odległości ściany (odległości płaszczyzny negatywu, zwanej ogniskową) oznacza cyfra przysłony. Tak więc, gdy np. średnica obiektywu wynosi 2 cm, zaś ogniskowa — 5 cm, będziemy mieli stosunek 2:5, czyli 1:2,5, w skrócie „2,5”. Gdy obiektyw przysłonimy, zmniejszymy jego średnicę, np. do ok. 6 mm (dokładnie do 0,625 cm), to wówczas otrzymamy przysłonę „8”, bo 0,625:5 wynosi 1:8.

Cyfry przysłony oznaczają jasność naszego obiektywu, czyli siłę światła. Im cyfra niŤsza, tym więcej światła pada przez obiektyw — okno naszego aparatu — na negatyw; im cyfra wyŤsza, tym słabiej „ściana” płaszczyzny negatywu jest oŤwie-żona.

Cyfry przysłony są tak obliczone, Ťi każde przesunięcie od jednej cyfry do drugiej wskazuje naszą przysłonę, powoduje równo dwukrotne zmniejszenie jasności obiektywu (gdy przesuwamy w stronę większych cyfr) lub dwukrotne zwiększenie (gdy przesuwamy w większej cyfry na mniejszą). Powoduje to konieczność dwukrotnego przedłuŤenia lub skrócenia czasu naświetlania.

Tak więc, gdy właściwym czasem naświetlania w danym wypadku jest szybkość migawki 1/100 sek przy przysłonie „11”, to przy przysłonie „8” wystarczy 1/200 sek, przy przysłonie zaś „16”, dwukrotnie przedłuŤymy czas naświetlania do 1/50 sek. Przy przysłonie „5,6” wystarczy naświetlenie 1/400 sek. — We wszystkich tych czterech wypadkach otrzymamy negatywy jednakowo naŤwietlone.

Wyjaśnimy tu, Ťi istnieją dwa systemy cyfrowego oznaczania przysłony. Pierwszy system, tzw. niemiecki, operuje następującymi cyframi przysłony: 1,5 — 2 — 3,2 — 4,5 — 6,3 — 9 — 12,5 — 18 — 26; drugi system, tzw. międzynarodowy, wprowadzony przez zakłady optyczne Zeiss'a, opiera się na cyfrach: 2 — 2,8 — 4 — 5,6 — 8 — 11 — 16 — 22 — 32.

Jeden z tych systemŌw mamy zastosowany w naszym aparacie. RŤnica w jasności obiektywu oznaczonego jednym lub drugim systemem jest niewielka — możemy bez obawy o niedoŤwiecenie lub przeŤwiecenie stosować pobliŤskie cyfry jednego systemu zamiast drugiego, np. 12,5 zamiast 11, 9 zamiast 8 lub odwrotnie.

Cyfry oznaczające przysłonę i zarazem jasność naszego obiektywu są to cyfry bezwzględne. Oznacza to, Ťi te same cyfry przysłony okreŤlają tę samą siłę światła dla każdego aparatu, bez względu na rozmiar jego obiektywu czy długoŤi ogniskowej. Tę samą ilość światła przepuŤci nam obiektyw kosztownego „Contaxa” po przysłonieniu go na „8”, co i obiektyw znacznie sromniejszej i tańszej „Certo-Dolliny” przy tej samej przysłonie. I w obu wypadkach będziemy musieli jednakowo naŤwietlać.

Po przeczytaniu powyŤszych uwag, Czytelnikowi powinno nasunąć się szereg pytań: dlaczego stosujemy przysłonę, zmniejszamy otwŤr naszego obiektywu i tym samym musimy dłuŤej naŤwietlać, zamiast fotografować pełnym obiektywem, pozwalającym na uŤycie szybkiej migawki? — Pytanie szersze i zasadnicze, zmierzające do wyjaśnienia głównej roli przysłony — zwiększania tzw. głębi oŤroŤci, czyli strefy, w której znajdujące się fotografowane osoby czy przedmioty będą oŤtro wyrysowane na naszym negatywie. Ale „o tym potem”, w następnym numerze „Ťwiata”.

ODPOWIEDZI

J. Kr., Bytom: Z wydanych po wojnie podręcznikŌw fotograficznych na rynku księgarskim znajdują się jeszcze godne zalecenia książki „Technika nowoczesnej fotografii” dr T. Cypriana (Wydawnictwo Wł. Włak, Poznań) oraz „Fotografowanie nie jest trudne” J. Płażewskiego (Wyd. Filmowa Agencja Wydawnicza, Warszawa).

Eugeniusz R., ZyrardŌw: Jedną z Waszych korespondencji wykorzystaliśmy, pozostałe są to w zasadzie fotografie przodownikŌw, z krŤotkimi podpisami — prosimy o więcej tekstu do tych zdjęć, abyśmy mogli je wykorzystać.

Wiesław K., Zerań: Napisać do nas obszerniej o zespole Ťwietlicowym w FSO. Wasza korespondencja na ten temat jest stanowczo za skąpa.

Irena P.-C., Poznań: Prosimy o współpracę. Waszą korespondencję o Klubie TPP-R wykorzystamy, ale na przyszłość starajcie się bardziej oŤwiyć swój tekst.

F. Z., CięŤkŌwice: Za list i pozdrowienia dziękujemy. CięŤszymy się, Ťe „Ťwiat” Wam się podoba. Piszcie do nas o troskach i radoŤciach w Waszej gromadzie — ale Wasze korespondencje, jeŤli chcecie, aby były zamieszczane w naszym piśmie, muszą być z fotografiami, jak to widzicie na kolumnie „Nasi Fotokorespondenci donoszą”.

Roman Z., Wodzisław: Wiersza niestety wykorzystać nie możemy, szkoda, Ťe nie przesłaliŤcie go do jakiegoŤ pisma młodzieŤowego lub sportowego.

Jedną z sal poświęconą była w tym roku pracom nauczycielskiego personelu szkoły. Wystawiono obrazy dyr. Podgórskiego, profesorŌw: F. Schera, Klimowskiego, Kasprzyka, rzeŤbę Jakubowskiego i tkaniny prof. ŤliwkŌwny.

Mimo woli przychoŤzą na myśl początki szkoły. Były przed pięciu laty chwile, gdy prof. Jakubowski, aby mŤdziŤ mogła modelować, wŤził w walizce z Bochni glinę i gips. A dzieŤaj? Szkoła ma własny piec do wypalania ceramiki, wyŤwŤliły się nowe talenty chłopcŌw — i wŤpłiwości, które przed laty drezczyły niejednego, okazały się pŤonne. WiŤnica jest kuaŤnia nowych kadr ludowych artystŌw — plastyków, kuaŤni, która pracuje z wyrŤnieniem.

Jerzy Freudenheim, WiŤnica

Opis podróży do Australii i pobytu tamże od 1852 do 1856 roku.

(6)

przez Seweryna Korzelińskiego.

XVII. MELBOURNE

Kapitan Phillip rozporządziwszy w Sydney wszystko, co wypełnienie nieograniczonej woli jego upewniało, płynął wzdłuż brzegów ku północy, dla zbadania okolicy. W tej podróży spostrzegł on cieśninę zamykającą ogromnej rozległości odnogę, nad którą stoją teraz miasta — szybko wzrastające Melbourne i Gilong; a że odnodze poprzedzającej, nad którą pierwsza kolonia Sydney założona została, przez Cooka już dane było nazwisko Port Jackson, kapitan Phillip, dla przekazania potomności swego nazwiska, nazwał odkrytą przez siebie odnogę: Phillip Bay, i osadziwszy na brzegu kilku



Rys. A. Uniechowski
Melbourne

zbrodniarzy w namiotach, miejsce to nazwał: Phillip Thal. Stosowniejsze miejsce na wzgórzu, o parę mil odległe i położone nad rzeką Yarayara, później cokolwiek wybrane zostało na założenie Melbourne, stołecznego miasta dzisiejszej prowincji Wiktorii. Miasto to nazwane zostało na cześć lorda Melbourne. Jak daleko granica między Wiktorią a Nową Południową Walią sięga, jest mi nie wiadome; nie jest ona jeszcze na mapach wskazana.

XVIII.

ZIEMIA TYLKO DLA ZAMOŻNYCH

Z czasem zamieszkała część Australii będzie najbogatszym miejscem na kuli ziemskiej. Długo jednak czekać trzeba, nim to stanowisko zajmie; ludność bowiem ledwie dwa miliony w całej Australii znanej wynosząca, mniej jak w jednym Londynie, za małą jest, by zdziałać mogła wielką odmianę na przestrzeniach ziemi, równającej się rozległości całej Europy; przy tym systemem rządu angielskiego więcej wstrzymuje, jak przyspiesza kolonizację. Każde on dzielić lasy na sekcje i sprzedaje drogo, bo akr po 1 funcie. Po miejscach zaś, gdzie przyszłe miasta wzrastać mają, bierze od 4 do 8 funtów. Niejeden, przybyły do Australii z liczną rodziną, przywiózł z sobą lub na miejscu zarobił paręset funtów. Gdyby mu sekcja dana była na wypłatę w dziesięciu latach, jak to w Ameryce się dzieje, mógłby kupić konia i pług, i karczując moźolnie, uprawiać pole, które by go żywiło i dostarczyło fundusz na zapłatę wartości umówionej. Lecz jeżeli zapłacić musi za sekcję 80 funtów, nic mu nie pozostanie na pług, bronę i na utrzymanie życia póty, póki ziemia nie wyda plonu. Nie mówię tu już o postawieniu jakiegokolwiek budy i o drobnych, ale koniecznych potrzebnych sprzętach i narzędziach.

Pierwszym kolonistom-zbrodniarzom, nadawana była ziemia bezpłatnie po kilka mil kwadratowych rozległości; dziś porządnemu, pracowitemu człowiekowi płacić karze rząd za ziemię, która go nie kosztowała i jednego naboju prochu. Pierwsi osadnicy utrzymywani byli przez rząd; długi czas przywożono okrętami żywność i starano się jakkolwiek bądź rozszerzyć kolonię; teraz każą tylko złożyć pieniądze

za kawałek lasu, po czym nikt się nie pyta, jak kto żyje. Wprawdzie przy odkrytych kopalniach złota pracując zarobić można na utrzymanie życia, a czasem i więcej, jeżeli szczęście sprzyja, nie ma więc potrzeby opiekować się ludźmi jak z początku, ale jeżeli rząd rozszerzenie kolonii australijskich ma na celu, nie powinien drogo sprzedawać lasów. Mało jest takich, którzy przybywszy do Australii byłiby w stanie wydoiść potrzebom rolniczym; mało, którzy by zarobić mogli w kopalniach sumę potrzebną na założenie gospodarstwa w miejscu, gdzie każdy przedmiot niezmiernie drogo kosztuje. Kupno ziemi staje się dostępne tylko zamożnym, większość tuła się po lasach z miejsca na miejsce, szukając złota, które fortuna — i na drugiej półkuli gymaśna pani — wybranym tylko w większej ilości udziela.

Zamożni tedy kupują teraz znaczne przestrzenie — niemasz bowiem ograniczenia jak w Ameryce, wiele akrów w jednym miejscu pojedynczy człowiek posiadać może — i kawałkami wydzierzawiają one uboższym. Ciągąc niezmiernie korzyści, tworzą w odległej tej ziemi nową Anglię, gdzie majątki znaczne w rękach niewielu osób spoczywają.

XIX. „CYWILIZOWANIE“ DZIKICH

Oprócz stałego ładu, znane są przez Anglików w posiadanie zabrane i po części skolonizowane, a do Australii przylączone wyspy. Ze znaczniejszych jest na południowej stronie wyspa Van Diemen Land, z miastem Hobart Town. Do tej wyspy wysyłają na wygnaniu nawet niepoprawnych zbrodniarzy. Van Diemen Land — najprzyjemniejsze siedlisko, zamieszkałe prawie zupełnie przez samych Anglików, gdyż liczbę dzikich braci tak potrafiłi oni zmniejszyć, że już tylko na jednostki rachować można biedaków.

Siedemdziesiąt lat minęło od czasu, kiedy pierwsza kolonia angielska założona była na brzegach Australii i od tylu też lat zaczęto „cywilizować“ dzikich przywiezioną z Anglii wódką, tytoniem i udzielaniem chorób nieznanym.

Bywały wypadki, że dzicy zabijali pojedynczych kolonistów w lasach. Owczarze nad rzeką Owens opowiadali



Rys. A. Uniechowski

nam, że przed kilkunastu laty dzicy zabili właściciela stacji¹⁾, równie jak kilku innych białych na tej linii mieszkających. Pozostali zapłacili im za tę zbrodnię okrutną zemstą. Zebrałi się w liczbie kilkudziesięciu z dubeltówkami, na koniach i przez kilka tygodni polowali bez przestanku. Okrążali bezbronnymi (bo cóż znaczy drewniana lanca) w miejscach, gdzie ucieczka nie podobna była i wystrzelali wszystkich.

1) Stacja — ferma.

Kilkaset poległo dzikich, w zamian za kilku zabitych białych. Mówiono mi nawet, że innego jeszcze sposobu używają osadnicy dla pozbycia się braci czarnych. Mają częstować ich jadłem w domach swoich, lecz zwykle po takim bału dzicy dostają niestrawności i umierają. Jak dalece wierzyć temu należy, nie wiem, to tylko pewną jest rzeczą, że w każdym miejscu, gdzie osiedli Anglicy, liczba dzikich z każdym rokiem zmniejsza się znacznie. W Van Diemen Land już tylko kilkunastu włóczy się krajowców, reszta zamieszkująca niegdyś tę dużą wyspę przeniosła się, albo przeniesioną została, do wieżności, zostawiając cudownie piękną wyspę swoją na użytek Anglików, zapewne przez uszanowanie należne panom i dobrodziejom.

XX. SZCZURY I ANGLICY

Wnętrze Australii odwiecznymi pokryte lasami — dotąd nie zbadane. Przystępu do tych tajników natury bronią niezmiernie przestrzenie, pozbawione zupełnie wody, tego pierwszego niezbędnego żywiołu do utrzymania życia.

W czasie oddalenia się mego z Australii wyjść na odkrycia miała czwarta wyprawa; trwanie jej oznaczone było na dwa lata. Czy dwa lata wystarczą na przejście przez środek Australii, z któregośkolwiek południowego punktu na północ, jest to pytanie, na które wyprawa odpowie, jeżeli ją los poprzednich nie spotka.

Zawsze jednak coś więcej o Australii wiedzieć będzie można, jakkolwiek będzie skuteczną tej wyprawy, bo przecież nie da się ona odwieść trudnościami od powziętego zamiaru, choćby tylko żeby sprawdzić to podanie, jakoby natura sama przygotowuje ziemię w głębi Australii na przyjęcie mieszkańców. Mówiono bowiem, że ktoś, przypadkiem czy umyślnie, dalej zaszedł w lasy jak ktokolwiek inny z górników i osadników, a tułając się na przestrzeniach nie tkniętych stopą Europejczyka znalazł gdzieś miejsce gęsto pokryte na pół mili ścierwem zwierząt czarnego koloru i wielkości szczura, ścierwem mającym przez dekompozycję²⁾ użyźniać ziemię do przyjęcia przyszłych zasiewów. Trudno uwierzyć, żeby szczury tak były grzeczne i z takim poświęceniem leciały na jedno miejsce ginąć, dlatego, żeby potem John Bull³⁾ mógł jeść pudding. Wprawdzie szczury kochają Johna Bulla i jest ich pełno w każdym portowym i nie portowym mieście, na każdym okręcie, słowem wszędzie, ale tylko ze względów na owo przyjemne towarzystwo zamieszkują te miejsca. Nigdy za to nie przytrafiło mi się widzieć, żeby szczur z miłości do Anglika chciał umierać. Niech więc wierzy kto chce, ja, co znam i szczurów i Anglików sympatię do siebie, wolę poczekać, aż badawcza wyprawa, zakończona triumfem, potwierdzi owo cudowne podanie, a ja tymczasem wrócę do miejsca w Melbourne, gdzie pod drzewem w nocnym odpoczynku szukałem zapomnienia trosk przeszłych, a czerpałem siły do znoszenia przyszłych. Teraz jeszcze przykro ponieść się myślą w te czasy początkowe nieznanego zawodu górnika, bez najmniejszego wyobrażenia o sposobach, jakimi się zarabia na życie w Australii. Chęci dobre towarzyszyły nam przez ocean, a chociaż mówią, że przy szczerej ochocie i woli niezłomnej wszystkiego dopiąć można, przecież te pobudki okazują się czasem niedostateczne i kiedy człowiek dobrze przypatrzy się mecie do której dąży, bliska się być ona zdaje, jednak przejście, lubo krótkie, tamują trudne przepawy, nieumiejętność i niewiedza rzeczy. Lecz już jesteśmy na

miejsu, gdzie tyle tysięcy ludzi zabiła i żyje, więc jakoś i my starać się będziemy nie umierać z głodu.

XXI. JESTEM KUCHARZEM

Podług wzajemnego porozumienia ja miałem gotować jeść. Równie więc ze dniem wstałem i rozpaliwszy ogień, nstawiłem wodę na kawę. Tymczasem nadjechał piekarz z chlebem i dziewczyna nadeszła z mlekiem, które, zmieszane z wodą, drożej sprzedawała, angielskim zwyczajem, gościom przybyłym z daleka jak miejscowym. Kawa gotowa, zasiadamy na murawie do śniadania. Pogadanka, żarty, śmiech, nowość położenia — rozpędzają natrętnie nasuwające się przykre myśli. Wokoło nas bieleją różnego kształtu namioty porozbijane popod drzewami. Przy nich snują się w różnych kierunkach lub zasiadają tak jak my do rannego bankietu rozłożonego na ziemi przyszli górnicy, handlarze, furmani, rolnicy, a może między nimi jaki przyszedł członek parlamentu australijskiego.

Wszyscy starają się przystroić w sposób używany przez górników. Paletoty surduty i fraki gdzieś znikają, a każdy staje się podobny strojem do drugiego. Już tu nie widać nic więcej, jak koszulę w paski niebieskie, niskie kapelusze z dużymi brzegami, spodnie ze skóry angielskiej, szyja wolna od chustki czy krawata, a nogi, przyzwyyczajone do lakierowanych bucików, dźwigają ciżemki lub buty podkute w dwóch końcach podeszwy podkówkami, w środku zaś ćwiekami dużymi. Wszyscy, ożywiłi nadzieją, gwarzą o przyszłości, a z dala głosy mruczące wydają się podobne do przytłumionego dźwięku pasieki w porze rojenia.

Biorę się do gotowania obiadu. Ma on się składać z rosołu, mięsa i kaszy ryżowej. Stach, umiejący najlepiej rozmówić się, przynosi mięso i ryż.

— Czemuż nie kupił kartofli, cebuli kapusty lub jakiej zielenizny? Cóż włożę do rosołu?

— Ba, zapewne chleba się wdobi i tyle, bo wszystkie te zieleniny diabło drogo kosztują. Za mięsa cztery funty zapłaciłem 2 szylingi, za to samo nie kupiłbym i funta kartofli, ryż tylko tani, bo funt po 3 pensity.

— Ha! to chyba do rosołu klusek wrzucę.

— Zapewne.

— Idź po jajo albo przynieś dwa, to będą lepsze.

Otóż i nadchodzi. Kapelusze na prawe ucho przebakierowany, fajka w ustach, ręce w kieszeni, przybliża się, coś nucąc. Gdzież on schował jaja? — pomyślałem — pewnie w kapeluszu. Z daleka wołam na niego:

— Chodźże już prędzej i dawaj!

— Co?

— Jaja.

— Aha! Pięknie byśmy wyszli, gdybyśmy tutaj jaja do klusek dodawać mieli... Ta te hieny żądają za jedno jajo 12 pensów. Czy słyszał kto coś podobnego?

— Ale, ale...

— Tak jest, tak — i kiwając głową na potwierdzenie swych słów, odpowiedział śmiejąc się. Piękny kraj, gdzie jedno jajo więcej kosztuje niż u nas trzy kury.

— Przypomniałem sobie wniosek zrobiony na Przylądku Dobrej Nadziei o stosunkowej taniości życia. Markotno mi było zawiedzionym zostać w wyrachowaniu, ale cóż robić? Rosół kipi, mąka na kluski przygotowana na miednicy, a jaj nie ma. Spróbuję zamiesić twardo, to może się nie rozleca. Wyśmienicie udało mi się eksperyment, bo kluski nie tylko że się nie rozgotały, ale twardością próbowały hartu najlepszych zębów. Bom dokładał też ręki co sił stało, a wody mało dolewał. Dobry system!

2) Dekompozycja (łac.) — rozkład, gnicie.

3) John Bull — dosłownie: Jan Wół, żartobliwe przezwisko Anglików.

Balczy ciąg nastąpi



W GÓRACH HARCU

ROMAN KARST

Z notatnika podróży po NRD

„GÓRY PRZYBRAŁY TUTAJ JESZCZE BARDZIEJ STROMY KSZTAŁT, JODŁOWE LASY FALOWAŁY W DOLE NIBY ZIELONE MORZE, A NA BŁĘKITNYM NIEBIE W GÓRZE PŁYŃĘŁY BIAŁE OBŁOKI”.

Heine. „Podróż po Harcu”.

W POCHMURNY poniedziałkowy ranek, po pięciodniowym pobycie w stolicy Niemieckiej Republiki Demokratycznej, opuszczamy Berlin. Czeką nas długa, 1500 kilometrów licząca droga, która biegnie głębokim łukiem na południe. Zmierzamy do Turynii, w góry Harcu. Nasze auto przecina płaski krajobraz Brandenburgii, której granice przekraczamy po dwóch godzinach. Niebawem wylania się matowa wstęga Saali, płynącej leniwie wśród szachownic pól. Zwolna pojawiają się na horyzoncie wzniesienia i ciemne pasma lasów, za którymi majaczą szczyty Harcu.

POD SKAŁĄ GOETHEGO

Jesteśmy w sercu Harcu najpiękniejszego zakątka Turynii, w której rezydował ongiś minister księcia Karola Augusta z Weimaru — Johann Wolfgang Goethe.

Zatrzymujemy się w uzdrowisku Thale, przylegającym do prawego brzegu górskiego strumienia Body. Dookoła strzelają w niebo niemal prostopadle granitowe skały otoczone wieńcem ciemnych, gęstych lasów. Thale posiada wiele osobliwości godnych opisu, z których najbardziej urzekają: dolina Body, góra zwana „Hexentanzplatte” (Plac płasów czarownic) i przepiękny teatr górski.

Dolina Body wije się wzdłuż rwącego potoku, którego koryto wyścielają duże głazy o najbardziej dziwacznych kształtach. Nie widać tu nieba, stare buki i dęby tworzą naturalne sklepienie, zielony szumiący baldachim. Pomiędzy potokiem a wielkimi blokami skalnymi, wznoszącymi się stromo do góry, biegną po obu brzegach dwie wąskie ścieżki, tu i ówdzie przecięte lekkimi mostkami. Uroda tego miejsca jest niezwykła i nic dziwnego, że od najdawniejszych lat wabiła wielu znakomitych pisarzy. Goethe bawił tutaj trzykrotnie: w 1783, 1784 i 1805 roku. W tym uroczysku odbywał długie spacerki, omijając potężną skałę, zwaną teraz skałą Goethego — „Goethefelsen”, i szukając odpoczynku na olbrzymim, oszlifowanym przez wodę



kamieniu, tzw. „Goethestein”. Do dziś zachowały się kamienne schodki wiodące wprost do potoku, na których pisarz często przesiadywał, rozmyślając o motywach Fausta. Goethe był już wtedy, przed pierwszym swoim pobytem w tych okolicach, uznanym poetą, tajnym radcą przy dworze Karola Augusta i przewodniczącym Izby Finansów.

Ciszę panującą w dolinie przerywały głosy zbliżających się ludzi. Po chwili podchodzi do nas grupa metalowców z Erfurtu, którzy spędzają w Thale wczasy. Robotnicy przystają przy skałce Goethego i rozprawiają żywo. I oto jeden z nich zaczyna recytować monolog Egmonta z ostatniej sceny więziennej: „I ja wychodzę z tego więzienia naprzeciw zaszczytnej śmierci; umieram za wolność, dla której żyłem i walczyłem i której składam teraz, cierpiąc, siebie w ofierze”. Słuchamy w skupieniu głosu robociarza z Erfurtu, przedstawiciela klasy, która teraz w Niemieckiej Republice Demokratycznej przejmie z pietyzmem i pełnym zrozumieniem dzieło wielkiej klasyki i postępowej kultury niemieckiej.

TEATR POD „SZCZYTEM CZAROWNIC”

Na szczyt „Hexentanzplatte” wiodą dwie drogi: dla pieszych, dzika, pnąca się wśród urwisk ścieżka, oraz asfalto-

wa serpentyna, którą można dostać się autem na wierzchołek. Z „Hexentanzplatte” rozciąga się widok na najwyższy szczyt Harcu, Brocken, gdzie odbywały się — jak podają legendy — sabbaty czarownic. Przed nocą Walpurgii gromadziły się na „Hexentanzplatte” wiedźmy z całego kraju, po czym odlatywały na Brocken — jesteśmy zatem u kolebki legendy, którą również Goethe wplótł do swojego „Fausta”. Źródłem tych podań są oczywiście fakty historyczne sięgające średniowiecza, epoki okrutnych prześladowań kobiet, które pod najbłahszym pozorem oskarżano o uprawianie czarów i spalano na stosie. Niezłazne te istoty szukały ocalenia w górach i lasach Harcu, gdzie znajdowały schronienie przed średniowiecznym zabobnem. Szczute i prześladowane żyły tutaj w stanie na pół dzikim, odradzając się w legendzie pełnej guseł i czarów.

Wspaniałą ozdobą „Hexentanzplatte” jest teatr górski, najpiękniejsza scena naturalna (Freibühne) Niemiec. Teatr położony jest na zboczu góry, w wyłobieniu zbudowanym przez przyrodę. Jego oprawę stanowi prześliczny gaj dębowy i dzikie skały piętrzące się bezładnie dookoła. Kiedy patrzymy nań z boku, przypomina olbrzymie jaskółcze gniazdo przyklepione do stoku góry. Widownia, skonstruowana amfiteatralnie, ma kształt dużego półkola i może pomieścić 2000 widzów. Miejsca siedzące zbudowano z dużych ciosów kamiennych, a olbrzymia scena — o ile tak można nazwać kompozycję z drzew, skał i kilku przybudówek — leży w głębi, w odległości kilkudziesięciu metrów od pierwszego rzędu ławek. Całość przypomina uroczysko, nader romantyczne i kształtnie zharmonizowane.

Dekoracje sceniczne są stałe i składają się po części z elementów przyrody, po części są dziełem rąk ludzkich. Scena jest przystosowana do wystawiania „Fausta”, ale nieznaczna przeróbka szczegółów umożliwia również granie innych sztuk. Scena harceńska zdołała rozwinąć i wyklarować osobliwy styl

PRZED wojną Koszelew — wieś oddalona o kilkanaście kilometrów od Płocka — był majątkiem należącym do fabrykanta Steinhagena, właściciela poza tym dwóch fabryk: celulozy we Włocławku i papieru w Warszawie. A więc w jednym ręku zgromadzona była własność wielkich obszarów ziemi i wielkich środków produkcji przemysłowej.

Na pograniczu dóbr Koszelewa tłoczyły się działki małych chłopów. Okienka ich chałup patrzyły z daleka w okna koszelewskiego dworu, jak głodni podglądający pańską ucztę.

Po wojnie dobra Koszelew zostały rozparcelowane. Powiększyły się działki małych chłopów, ale nie znikły trudności i kłopoty związane nieodzownie z indywidualną gospodarką na roli.

Dopiero w roku 1950 nastąpił w dziejach Koszelewa istotny przełom. Oto jeden z koszelewskich chłopów pojechał z wycieczką chłopską do ZSRR. Przyjrzał się pracy i rozkwitowi tamtejszych kołchozów i postanowił wprowadzić ojczyzną wieś na tę samą drogę postępu.

O reszcie najciekawiej mówią liczby:

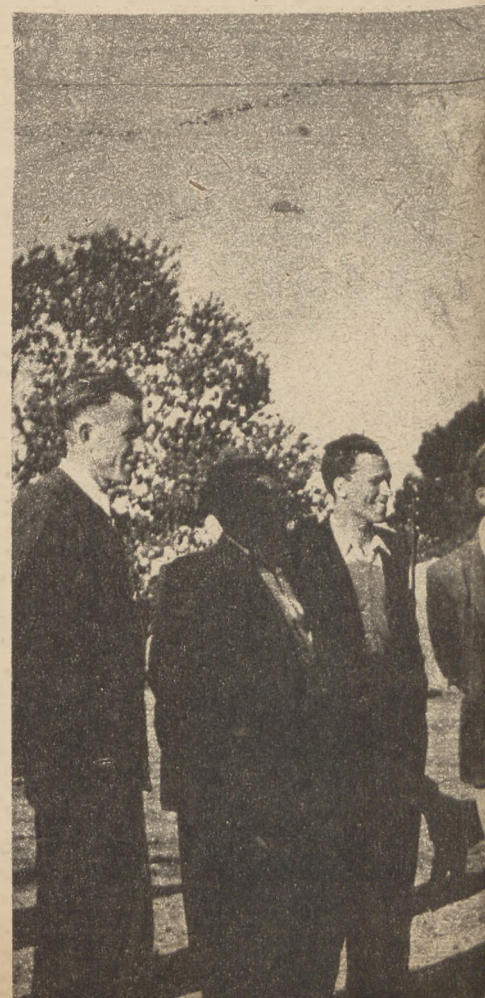
Zawiązana w roku 1950 Rolnicza Spółdzielnia Produkcyjna w Koszelewie liczyła najpierw 11 członków. W roku 1951 powiększyła się do 16. Dzisiaj członkami spółdzielni jest 23 chłopów gospodarujących na 215 hektarach. Ładny kawał ziemi!

W chwili założenia spółdzielni nie miała w ogóle bydła, gdyż każdy ze spółdzielców posiadał tylko po jednej krowie, którą — zgodnie z ustawą spółdzielczą — zachował na swym indywidualnym gospodarstwie. — W roku 1951 we wspaniałej, świeżo zelektryfikowanej i zaopatrzonej w wodociągi oborze koszelewskiej było już 12 sztuk krowiego pogłowia, dzisiaj jest 30 krów dojnych i 12 sztuk jałowizny.

Tak jest i ze wszystkim innym: spółdzielnia założyła 5-hektarowy ogród warzywny, a przy nim pasiekę. Zaczęło się od 3 uli, dziś jest ich już 15.

Zamiary spółdzielni na najbliższą przyszłość? Spółdzielcy chcą zaopatrzyć oborę w elektryczne dojarki i założyć fermę kurzą. Chcą wybudować Dom Kultury. Podkreślamy: **wybudować** od fundamentów, gdyż w dawnym dworze Steinhagena mieści się teraz przytułek dla starców. Zgrzybiałe staruszki, których tradycyjnym „pomieszkaniem” była dawniej kruchta kościelna, a zajęciem — żebranina, dzisiaj odpoczywają

W spółdzielni produkcyjnej Koszelew



Dokończenie na str. 21

ZE „ŚWIATEM” W KOSZELEWIE

po trudach życia w pięknym dworze i w pięknym, rozległym parku koszelewskim.

— Kilińscy gotowi?
— Gotowi!
— Panie akompaniatorze, proszę zacząć.
Akompaniator uderza w klawisze pia-

Powiedzieliśmy sobie na zebraniu redakcyjnym kilka rzeczy: nie wystarczy jeździć w teren po materiały do reportaży. Chłopów powinniśmy poznać także w odpoczynku i wspólnej zabawie.

Co powiedziawszy, „Świat” zapakował się któreś niedzieli w samochody, zaprosił grupę wybitnych artystów i ruszył z nimi razem do Koszelewa.

który na oczach zebranych pokazywał, jak się rysuje satyryczne rysunki polityczne.

Podobaliśmy się sobie obustronnie i szczerze. Między Koszelewem i „Światem” została zawarta przyjaźń nieoficjalna, a serdeczna.

JERZY WALDORFF

Fot. K. JAROCHOWSKI



Karol Ferster (Charlie) pokazuje naocznie, jak się robi „na szaro” Trumana.



Występ ekipy „Świata” prowadził i zapowiadał program red. Jerzy Waldorff.



Kazimierz Poreda specjalnie okłaskiwany był za dowcipną „Balladę o pchle”.



Flora i Zbigniew Kilińscy w swym drugim ludowym tańcu pt. „Zaloty”.

nina i na podłogę zbitą z desek, a położoną na trawniku przed koszelewskim dworem, wbiega para tancerzy w hiszpańskich strojach. To czołowi artyści Opery Warszawskiej — Zbigniew i Flora Kilińscy, pokazują chłopom Koszelewa, jak tańczą chłopci w Hiszpanii.

Przedtem jeszcze primadonna Opery Wrocławskiej — Wisława Cwiklińska śpiewała pieśni polskie i włoskie oraz koloraturowe wale Straussa. Śpiewał także pierwszy bas Opery Warszawskiej — Kazimierz Poreda, zbierając rzęsiste brawa za „Balladę o pchle” Musorgskiego, i tańczyła pięknego „Krakowiaka” znakomita tancerka — Stanisława Stanisławska, założycielka sławnego już dziś zespołu baletowego „Małwy”.

A wszystko zaczęło się od tego, że „Świat” postanowił wyruszyć z Nowego Świata w Warszawie — w szeroki świat.

I było wspaniale! Najpierw była kąpiel w ślicznym koszelewskim jeziorze, potem było zwiedzanie gospodarstwa spółdzielni produkcyjnej, potem — zsiadłe mleko tak pyszne, jak może być tylko „prosto od krowy” (z tym, iż zsiada się po drodze) i wreszcie był występ.

Czy podobał się chłopom z Koszelewa? — Po występie jeden z nich tak mi powiedział:

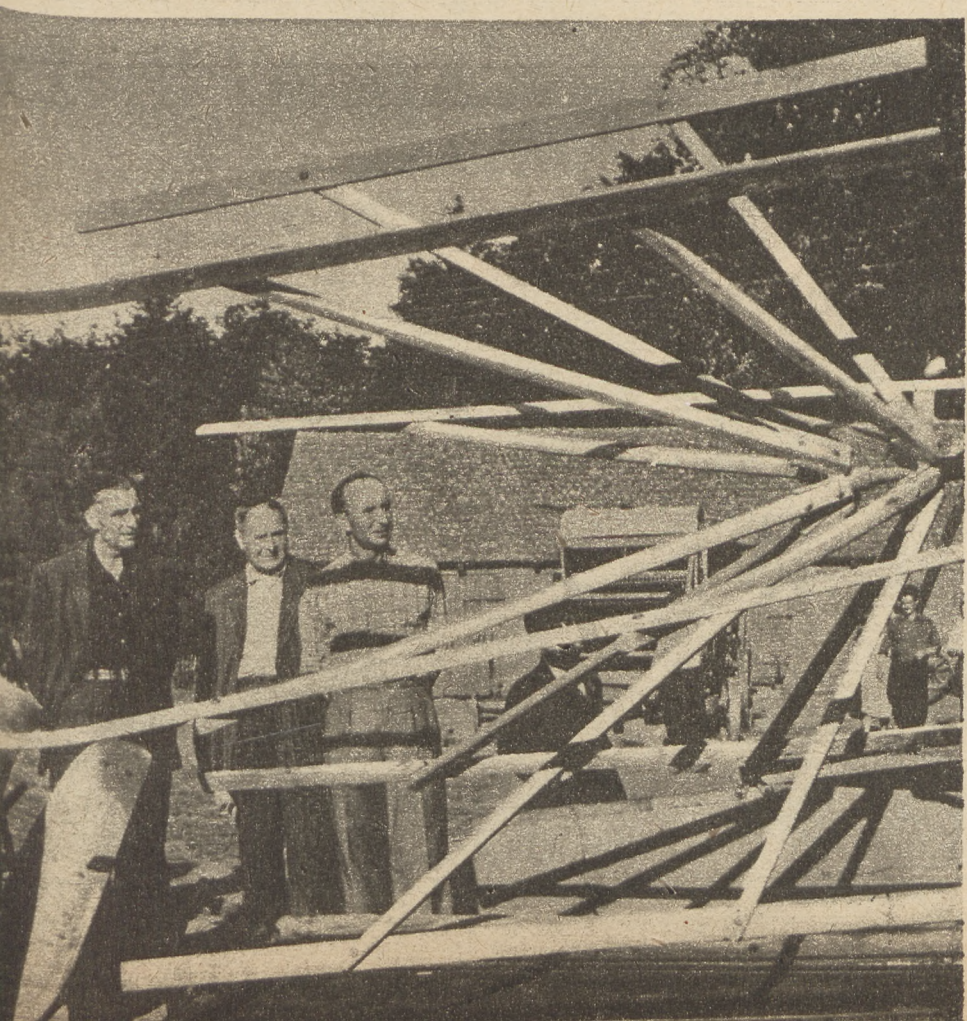
— Nie jesteście tu pierwsi. Ale czasem bywa tak, że ludzie z miasta traktują nas jakoś na odczepkę. Chłopu — myślą pewnie — to można pokazać byle co i tylko chłopskiego, bo inaczej nie zrozumie. A wam jesteśmy wdzięczni za to, że pokazaliście nam nie tylko tańce i śpiewy ludowe, ale również inne, których jesteśmy ciekawi. To nam się podobało!

Podobał się także występ rysownika „Świata” — Karola Ferstera (Charlie),



Przed występem ekipa „Świata” odświeżyła się kąpielą w pięknym jeziorze koszelewskim. Oto trzy artystki: (od lewej) Cwiklińska, Kilińska, Stanisławska.

nie brakuje nowoczesnych maszyn rolniczych, jak na przykład ta snopowiązałka.



Sądząc po radosnych uśmiechach tych widzów — występ „Świata” był udany.



MAROKO

Dokończenie ze str. 15

1) Największa i najbogatsza część kraju znalazła się pod panowaniem francuskim (stolica: Rabat).

2) Część terytorium Maroka została sztucznie oddzielona od reszty kraju i oddana Hiszpanii. Okręg na północy Maroka (stolica: Tetuan) i okręg na samym południu (Rio de Oro) podlegają obecnie frankistowskiemu rządowi w Madrycie.

3) Trzecia wreszcie strefa, obejmująca miasto i rejon Tangeru, dawniej politycznej stolicy Maroka, otrzymała t. zw. „statut międzynarodowy”. Od roku 1923 prawodawstwo w tej strefie należy do reprezentantów państw kolonialnych.

Od roku 1912 do roku 1934 lud Maroka walczył z bronią w ręce przeciw protektoratowi, formie imperialistycznego panowania. W ciągu dwudziestu dwóch lat bojownicy uzbrojeni w przestarzałe karabiny stawiali najeźdźcy bohaterski opór. Przeciw najlepszym synom ludu Maroka szły uzbrojone po zęby, nowoczesne armie francuskich i hiszpańskich imperialistów.

Jeden z dowódców tych armii, marszałek Lyautey, w przemówieniu wygłoszonym 29 lutego 1916 roku w Lyonie, przyznał z całą otwartością, że „dzieło protektoratu” zmierza do rozbicia narodu marokańskiego w interesie mocarstw imperialistycznych.

„W Maroku — mówił Lyautey — znaleźliśmy się na terenach państwa mającego swe miejsce w historii i suwerennego, czujnie strzegącego swej niepodległości; na terenach, które aż do ostatnich lat stanowiły jeszcze zorganizowane państwo, miały swój aparat administracyjny, przedstawicielstwa za granicami kraju, urzędnika społeczne, istniejące w większości do dzisiaj... Pomyślcie, że w Maroku znajduje się wiele osób, które przed sześciu zaledwie laty były ambasadorami niepodległego Maroka w Petersburgu, w Londynie, w Madrycie, w Paryżu... wielu ludzi o solidnym wykształceniu, którzy pertraktowali na zasadach równości z mężami stanu państw europejskich...”

W swojej książce „Marokańscy Berberowie i pacyfikacja centralnego Atlasu”, obecny rezydent Francji w Maroku, generał Guillaume, pisał o stosunku ludu marokańskiego do imperialistycznych najeźdźców:

„Żaden szczerp nie przyszedł do nas dobrowolnie. Żaden szczerp nie poddał się nam bez walki, a niektóre złożyły broń dopiero po wyczerpaniu wszystkich środków oporu, aż do ostatniego. Żaden szczerp nie przyszedł do nas, jeżeli nie został uprzednio pobity zbrojnie. Każdy etap naszego posuwania się w głąb lądu oznaczał nowe walki. Kiedy zatrzymywaliśmy się, osiągnięta linia musiała być strzeżona przez cały system umocnień, na których nasze jednostki zmuszone były pełnić w ciągu długich lat niebezpieczną i nie zaszczytną służbę...”

Walka ludu marokańskiego przybrała później różne formy. Ale nie ustała nigdy. Nabrała ona ogromnego rozmachu nazajutrz po zwycięstwie nad hitlerowskim faszyzmem, zwycięstwie, w którym jest również udział ludu Maroka: jego synowie walczyli i ginęli w Tunisie i we Włoszech, we Francji i w Niemczech.

Dzisiaj cały lud Maroka — od pasterzy z dalekich zboczy Atlasu do mieszkańców miast — jednogłośnie żąda niepodległości narodowej, zniesienia traktatu o protektoracie, zjednoczenia swego terytorium. Rząd francuski nie zadowolili się bynajmniej rozdzieleniem terenów, które nie stanowią jego własności. Bezwstydy handel ziemią Maroka trwa nadal.

W roku 1942 baza lotniczo-morska w Kenitra (Port-Lyautey) przekazana została Stanom Zjednoczonym, które zachowały ją dotąd i przekształcają Maroko — włączone wbrew swej woli do koalicji atlantyckiej — w wielki bastion agresji.

Rząd francuski upoważnił waszyngtońskich militarystów do zbudowania w Maroku siedmiu baz wojennych, do utworzenia składów broni i amunicji, do przeprowadzenia dróg o charakterze wojskowym.

Memorandum skierowane przez Komunistyczną Partię Maroka do Zgromadzenia Ogólnego ONZ podkreśla, że „obecnie (w okresie szóstej sesji ONZ — przyp. Red.) 35.000 oficerów i żołnierzy amerykańskich oraz 10.000 osób należących do amerykańskiego personelu technicznego” zainstalowało się w Maroku wraz z ich rodzinami oraz że „zapowiada się na koniec roku zwiększenie stanu oficerów i żołnierzy do 100.000”.

Jednocześnie imperialiści amerykańscy rugują imperialistów francuskich ze wszystkich dziedzin gospodarki. Stanowi to przyczynę sporów, które przedkładane są nawet Trybunałowi Międzynarodowemu w Hadze.

Lud Maroka uczy się codziennie rozpoznawać swych przyjaciół i wrogów. Umie on odróżnić imperialistów, którzy są sprawcami jego nędzy, od ludzi pracy we Francji, którzy manifestują swą solidarność z walczącymi braćmi z Maroka. Lud Maroka żywi szczególnie gorące uczucia dla Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowej. Wie on, że opinia społeczna tych krajów solidaryzuje się z ludem Maroka, walczącym o wolność i pokój.

JULES LAMARRET



SWIAT o tym wie!

MUZEUM TRUMANA

Przeczytaliśmy w tygodniku „Newsweek” wiadomość, która napawa nas głębokim smutkiem. Nie ma teraz prawdziwej wdzięczności na świecie. Bo oto, jak donosi wzmiankowany tygodnik, Komitet Budowy Muzeum Trumana w jego rodzinnym mieście, Independence, stan Missouri, rozwiązał się z powodu braku funduszy. Doremnie założyciel i przewodniczący komitetu, senator Clinton Anderson, wygłaszał płomienne wezwania do narodu, odwołując się do ofiarności obywatelskiej mieszkańców stanu Missouri i całych Stanów Zjednoczonych. Nic nie pomogło. Komitet zebrał zaledwie paręset dolarów, co nie wystarcza nawet na zapłacenie rachunków za druki firmowe.

Krótko mówiąc, nie będzie Muzeum Trumana w USA. A szkoda. Bo eksponatów na pewno by nie zabrakło. Weźmy np. korespondencję osobistą pana prezydenta. List do krytyka muzycznego, Humme'a, który skrytykował głos panny Trumanówny, byłby prawdziwą ozdobą zbiorów. Któryż to inny prezydent USA groził kiedykolwiek krytykowi muzycznemu, że zamieni mu twarz na krwawy befszytk, albo kopniakiem w podbrzusze wyperswala-



BANKRUT. Po raz pierwszy w życiu Truman (pierwszy od lewej) zbankrutował, jako właściciel sklepu z galanterią. Wobec tego zabrał się do polityki.



MUZYK. Jako prezydent chętnie uprawiał grę na fortepianie. Grywał na różnych oficjalnych przyjęciach. Asystowała mu aktorka Laura Bacall.

duże niewłaściwe podejście do kiepskich sopranów? Albo słynne oświadczenie prezydenta o jednym z polityków amerykańskich, użyte w wywiadzie prasowym: „Ten pan jest sk... synem. Albo list do jednego z przywódców związkowych, którego pan Truman wręcz pomógł o nieczyść rasową, nazywając go kundlem! Słowem, prawdziwe skarby. Niestety, obywatele USA nie chcieli ofiarować tych paru tysięcy dolarów, potrzebnych na zbudowanie muzeum.

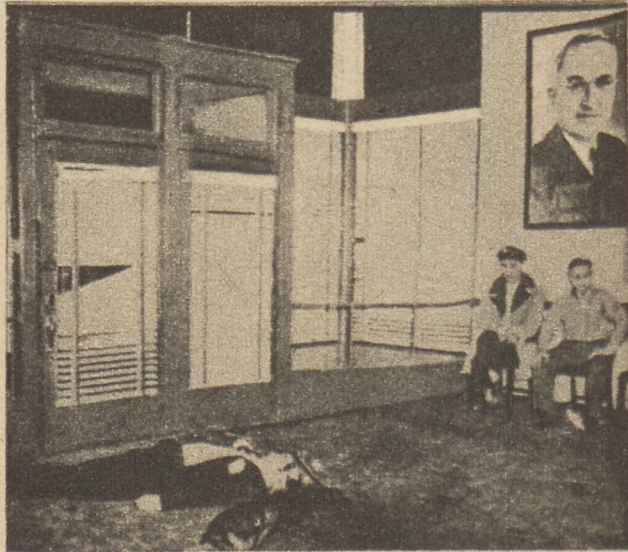
W zupełnie bezinteresownej trosce o to, by mimo to bezcenne pamiątki po prezydencie Trumanie nie zaginęły w pył zapomnienia, „Świat o tym wie” postanowił udostępnić ogółowi przynajmniej te cenne eksponaty, które znajdują się w naszych zbiorach. Nie wiele tego jest, ale zawsze coś.

Nasze małe muzeum trumanowskie otwiera zdjęcie niejako symboliczne: prezydent Truman w pozie posagu Wolności, dzierżący w dłoni but zamiast pochodni. Stąd wywodzi się określenie: „Pod butem wolności amerykańskiej...”

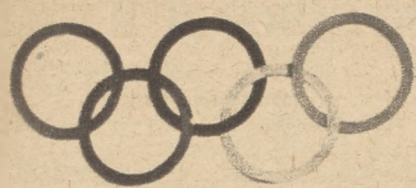
Reszta eksponatów opatrzona jest zwięzłymi wyjaśnieniami.



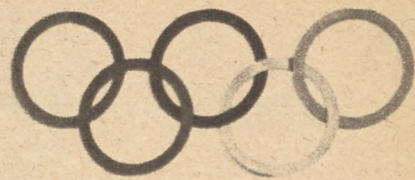
ELEGANT. Stał się też wyrocznią w sprawach mody męskiej. Kresowił zamiatowane do pięknych, kolorowych stroików, w których paradował po promenadach miejscowości wypoczynkowych.



POLITYK. Korzystał z usług wpływowych osobistości ze świata gangsterów amerykańskich. Jego poplecznik Charles Binaggio z Kansas City został zamordowany pod portretem Trumana.



XV OLIMPIADA



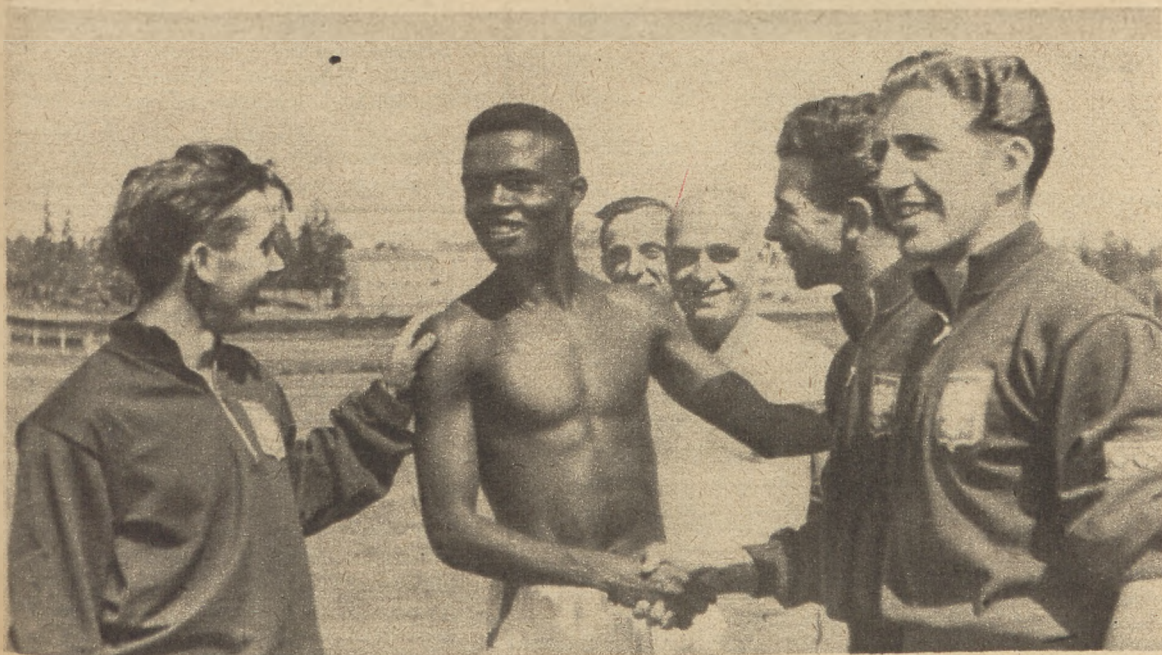
Zdjęcia: KEYSTON i CAF



Na 7-torowej bieżni olimpijskiego stadionu w Helsinkach ustanowiono wiele rekordów olimpijskich i światowych.



Duńska, skokiem 5,65 m zajęła 11 miejsce.



Olimpijscy hokeiści polscy mają nowego przyjaciela. Jest nim młody Brazylijczyk, Alves Calazans.



Jaroslava Kritkova (CSR) trenuje w wiosce olimpijskiej.



Lekkoatleci radzieccy przyglądają się treningowi oszczepniczki Zatopkovej (CSR).



Zwycięzcy olimpijskich jedynek: Tiukalov — złoty medal i Kocerka — brązowy.



TANIO i ŁADNIE

Każda młoda kobieta — nawet dziesięcioletnia — pragnie być ładnie ubrana. Dwa — trzy fotografie boczne.

Na pierwszej widzimy kretonową sukieneczkę w czerwonej kratę, z białym kołnierzykiem i mankietami. Ciemnoczerwona kokardka, pasek i w tym samym kolorze pantofelki — oto całość. Wachlarz oczywiście jest z gazety i służy tylko do zabawy.

Drugą kobietę dziesięcioletnią widzimy w codziennej, „zabawowej” sukieneczce kretonowej w kolorową kratkę. Nosi ją na białą bluzeczkę. Białe sandały i skarpetki w kolorze sukienki uzupełniają całość — tanio i ładnie.

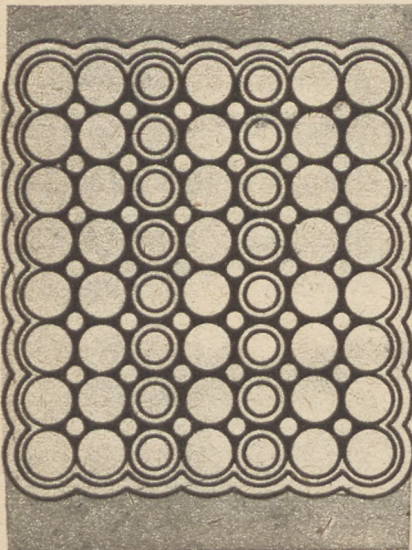
Trzeci model, to „wizytowa” sukieneczka z lekkiej welenki kremowej. Także nosi się ją na białą bluzeczkę. Pantofelki mamy, które nasza wytwornia włożyła do fotografii — absolutnie nie pasują do jej wieku i warkoczyka, wobec czego przedmiot należy wymienić je na własne — takie, jakie widzieliśmy na zdjęciu pierwszym od góry.

Zdjęcie główne przedstawia ideał... harmonii rodzinnej: sukieneczka córki nie tylko jest uszyta z tego samego materiału co sukienka mamy, ale nawet krojem prawie się nie różni.



ROZRYWKI UMYŚŁOWE

LOGOGRYF



Do podanej figury wpisać 8 wyrazów siedmioliterowych o poniższych znaczeniach. Trzecie litery tych wyrazów, a następnie piąte ich litery, czytane kolejno dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1) Miejsce zarosłe krzewami, gąszcz, gestwina, (wspak). 2) Pokrycie, pokrowiec. 3) Sygnał akustyczny. 4) Inaczej: szybciej. 5) Danie mięsne (w liczbie mnogiej). 6) Roślina cebulkowa o silnym zapachu używana jako przyprawa do potraw. 7) Główne miasto jakiegoś państwa. 8) Kotlina między Górcami i Tatrami.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesła prawidłowe rozwiązania, rozlosowanych zostanie

20 nagród książkowych.

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 22 (45)

KRZYŻÓWKA. *Posłano:* baleron, kaloria, Oran, tunka, Legos, zapora, la, Apis, Kanada, dog, tek, mogiła, sago, O. L. (Olga Lepieżyńska), Pomona, Lenin, waruna, panika, terany, domena, polana, kaleka, arena, kometa, fa, ruda, Morawa, rak, Ola, mimoza, Woła, da, talony, homar, okresy, Reda, Alma - Ata, melanit.

Pionowo: Balaton, parodia, apel, torula, logik, Weleđa, om, Eros, Parana, tka, Ras, morena, mara, on, komuna, Milet, zagony, komosa, tani-na, korony, Kupala, Damazy, anoda, polewa, re, lra, la-meta, Hel, Oka, Seneka, wo-da, Ra, danina, Roman, logika, fala, Araguna, bakarat.

Za dobre rozwiązanie zadania z nr. 22 (45) nagrody książkowe otrzymują:

1) A. Adamowicz — Pisz, ul. Żymierskiego 24a, 2) L. Byliński — Poznań, ul. Garbary 48, 3) T. Ciałowicz — Wrocław, ul. Stalingradzka

13, 4) B. Gawronski — Pruszków, ul. Szkolna 14, 5) S. Grabowski — Płock, ul. Piekarska 17, 6) A. Kidybiński — Poznań, ul. 23 Lutego 47, 7) K. Kimbar — Michałin k/Otwocka, ul. Matejki 6, 8) K. Kucharczyk — Tarnowskie Góry, szk. podst. nr. 7, 9) J. Kurkus — Warszawa, ul. Wileńska 29, 10) B. Magiera — Bielsko, ul. Lelewela 17, 11) R. Majewski — Warszawa, ul. Poznańska 11, 12) H. Marciniak — Zgierz, ul. Aleksandrowska 16, 13) S. Pionka — Bielawa, ul. Bleruta 46, 14) J. Półtorak — Kraków, ul. Dietla 27, 15) S. Słowik — Katowice, ul. Armii Czerwonej 58, 16) S. Sawed — Szczecin, ul. Matejki 28, 17) A. Veith — Chorzów, ul. Kościelna 3a, 18) A. Wachowski — Inowrocław, ul. Stalingradzka 51, 19) D. Wiśniewska — Gdynia, ul. Zygm. Augusta 1, 20) F. Zapłata — Zielona Góra, ul. Sikorskiego 68.

Nagrody wysyłamy pocztą i prosimy o potwierdzenie ich odbioru.

przedstawień na wolnym powietrzu, które wymagają odrębnej inscenizacji, spotęgowania elementów ruchu i doskonałego zestrojenia gry aktorskiej z otaczającą teatr przyrodą, która wdiera się wprost na widownię i scenę. A że scena jest z natury rzeczy pozbawiona kurtyny i normalnych rekwizytów teatralnych, jej specyfika rzuca się od razu w oczy. Ścianami widowni są tutaj lasy, sufitem niebo, a lampą, która oświetla salę — słońce. Przedstawienia odbywają się tylko przy świetle dziennym.

Teatr hanceński powstał w roku 1902. Dawniej dysponował niewielką ilością miejsc, zresztą frekwencja nie była duża, scena obsługiwała bowiem szczupłe grono bogatych kuracjuszy, którzy zjeżdżali na lato do Thale. Władze Niemieckiej Republiki Demokratycznej odbudowały zniszczony w czasie wojny teatr, widownię poszerzono, rozbudowano scenę i kulisy, a co najważniejsze, zapewniono teatrowi stały zespół aktorski kierowany przez doświadczonego reżysera Ulricha Veltena. Dziś teatr górski jest wielką sceną ludową, prezentującą robotniczemu widzowi postępowy, realistyczny dramat niemiecki i obcy.

POZDROWIENIA DLA POLSKI

Przed wojną Thale było miejscem wypoczynku zamożnych snobów i mieszczuchów, którym pieniądź pozwalał zachwycać się górkim krajobrazem. Dziś inna miejscowość tę odwiedza zupełnie inna publiczność. Wszędzie widać robotników, większość hoteli i pensjonatów zamieniono na domy wypoczynkowe dla członków Wolnych Niemieckich Związków Zawodowych. Zewsząd ściągają tu wycieczki, a latem uzdrowisko roi się od rzesz pracowniczych, które przybywają tu na wczasy.

Wieczorem opuszczamy „Hexentanzplatte”. Niebawem jesteśmy na głównej ulicy schludnego miasteczka. Dookoła rozbrzmiewa śmiech dzieci i mienią się błękitne koszulki Wolnej Młodzieży Niemieckiej. Młodzież miasta przygotowuje się do odjazdu na Złot w Lipsku. Dowiedziawszy się o przybyciu do Thale pisarzy ze Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowej, młodzi chłopcy i dziewczęta otaczają nas rojem i witają przyjaźnie. Na ich bluzach mienią się znaczki Komsomołu, odznaki chińskie, czeskie, bułgarskie, widzę także plakietki Związku Młodzieży Polskiej — pamiątki z berlińskiego Złotu Młodzieży Demokratycznej. Młodzi ludzie, pełni zapału i entuzjazmu, proszą mnie o oddanie pozdrowień polskiej młodzieży. Proście tej czynię chętnie za-dłość tą drogą.

Wieczorem sala restauracyjna naszego hotelu przepełniona jest robotnikami z pobliskiej huty i przedstawicielami młodzieży. Niebawem pierzcha „oficjalna” atmosfera i gospodarze intonują niemiecką pieśń ludową. Po chwili rozbrzmiewają pieśni radzieckie, czeskie, słowackie, polskie, bułgarskie, rumuńskie i węgierskie. Nagle ktoś zaczyna śpiewać hymn Młodzieży Demokratycznej. Śpiewamy go wszyscy, każdy w swoim języku — ale rozumiemy się doskonale.

ROMAN KARST

SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet
Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy Świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-10-69. Centrala: 6-11-81, 6-12-88. Administracja: Wileńska 12, tel. 7-52-50. Prenumerata i Kolportaż: PPK „Ruch”, Oddział w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 8-04-20 do 25. Prenumerata miesięczna zł 4.— — kwartalna zł 12.— półroczna zł 24.— roczna 48.—.

Zakłady Wklęsłodrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa”, Warszawa, Okopowa 58. Zam. 459. Pap. rotogr. V/80-82, 3-B-17678

„NIEBO NAD WARSZAWĄ”

Dołączanie ze str. 3

budują, żywią i bronią, dzięki którym rośnie to wszystko, dzięki którym jest Polska, jest Warszawa, jest radość i spokojny sen.

A kiedy cały stadion zakwitł wspaniałym, żywym koszem kwiatów połączonych ludowych zespołów tanecznych, kiedy wydawało się, że przypomina jedną wielką krakowską chustkę, pokrytą jak gdyby deszczem róż, kiedy powietrze zatrzęsło się od pieśni Aleksandrowa „My za mir — walczymy o pokój”, kiedy wreszcie wypłynęły na murawę spalane na brąz, muskularne prostokąty wojskowych zespołów gimnastycznych, czy stalowo-zielona, migająca iskrami baletów fala wojskowych oddziałów szturmowych, prezentujących musztwę i wyszkolenie bojowe — wtedy zrozumieliśmy jeszcze raz i my i młodzi Niemcy z FDJ i morze czerwonych krawatów zalegających trybuny, że miłość własnego kraju, budowanego własnymi rękami, jest siłą najpotężniejszą na świecie. O tym mówił Wiktor Jurkowski, przewodniczący delegacji leninowskiego Komsomolu, o tym mówił Francesco Morano, sekretarz SFMD, o tym myślała wiejska dziewczyna z krakowskiej wsi i przodownica włókiennika z Łodzi i murarz z kombinatu Nowej Huty, opaleni, rośli, kipiący radością i życiem.

Jeszcze raz warszawskie niebo przyciągnęło wszystkie spojrzenia w czasie wielkiego karnawału nad Wisłą w poniedziałek wieczorem. Tańczyliśmy w ścisłości i wrzawie na nadbrzeżnej zieleni, pod kulami lampionów i żarówek. Obok wirowały karuzele, diabelskie młyny, kolejki. Od kiosku do kiosku wędrowały grupy splecione ciasno za ręce. Kupowano słodczyce, wspinało się na namydlone słupy, próbowano swej siły na specjalnych siłomierzach. Mocne to były ręce, w pracy zaprawione, zdobywały pierwsze miejsce od jednego zamachu. Uścisku tych rąk nic nie rozerwie. Wymieniano adresy, opowiadano o sobie. Tej przyjaźni, jaką zawarła ze sobą cała młodzież polska, tej przyjaźni i miłości, jaką związała się ona ze swą ukochaną stolicą, nic nie naruszy. Tej miłości każdy z rozśpiewanych, oczadziały wprost od radości i zachwyty, będzie brocił do ostatniego oddechu. I wtedy właśnie niebo nad Warszawą i Wisłą zapłonęło ogrodem świateł. Świetlistymi konturami rysowały się wszystkie mosty na Wiśle, gmachy Warszawy, miasta — którego nie było przed paru laty, bohaterskiego miasta walki i pracy, dźwigniętego do nowego życia rękoma tej roztańczonej młodzieży. Warszawa uśmiechała się, jak mogła najpiękniej do swych budowniczych.

W miasteczku złotowym na Wierzbnie staliśmy otoczeni grupą zasłuchanej młodzieży. Władysław Broniewski recytował wiersz „Pionierom”, wiersz, napisany 25 lat temu. Budowniczy Nowej Huty, w zielonych koszulach i kolorowych chustkach, z miłością wpatrywali się w swego poetę. Mówiliśmy o bohaterstwie, czym ono jest, na czym polega. Broniewski opowiadał o Hibnerze, Kniewskim, Rutkowskim, oni o tym, jak walczyli o wykonanie podstawowych zobowiązań. Oto mieliśmy 25 lat historii bohaterstwa polskiej młodzieży robotniczej. W tym samym czasie najstarsi towarzysze, weterani bojów Wojska Polskiego, PPR i ZWM opowiadali na tysiącu spotkań z młodzieżą o tym samym — o walce w przeszłości, o najlepszych, którzy w niej padli. Mówili generałowie, mówili członkowie Biura Politycznego PZPR, mówili ojcowie i wychowawcy. Siedemnastoletnia Zosia Tomala spod Krakowa, z długimi warkoczami wokół opalonej na brąz twarzy, czytała swoje wiersze. — „Zawsze kochałam poezję — zwierzała się — nawet pasąc krowy pisałam wiersze...” Janko Muzykant? dziwimy się w duchu. Nie, Zosia uczy się, kończy szkołę.

Nikt nie zapomni defilady, jaka przeszła przez nowy Plac Konstytucji. Tej rzeki radości, śpiewu, okrzyków, kwiatów i sztandarów, miłości i dumy z dokonanych czynów oraz nienawiści do wrogów naszego budownictwa. Ten pochód był nie tylko przeglądem naszego „wielkiego placu budowy” — Polski, był on jednocześnie demonstracją siły. Tego, cośmy zrobili, nie damy nikomu! Patrzcie o co walczyliśmy, patrzcie co budujemy. Najbardziej wzruszającym w tej wspaniałej defiladzie było pomieszczenie w każdej grupie, w każdym szeregu żołnierzy i dziewcząt, młodzieży z wojskiem. Nie było tam wojskowych kolumn, był lud pracujący, a wojsko ludowe jest z dziećmi robotników i chłopów związane nierozłącznie. Wszyscy oni szli razem przez Plac Konstytucji, przez nowe miasto wyrosłe na gruzach, miasto już socjalistyczne. „Czuje, że na tym Placu będą kiedyś darmo rozdawać chleb” — powiedział do mnie stojący obok zetempowiec.

ANDRZEJ BRAUN

ZE SZKICOWNIKA ZŁOTOWEGO K. Ferstera i J. Żebrowskiego



Z. Wielogórski — F80
Zeran



Stanisław Kapuśniak — MDM



Edmund Grzesicki — Nowa
Huta



Włodzimierz Kopicki —
Poznań

Z OKNA MARSZAŁKOWSKIEJ DZIELNICY MIESZKANIOWEJ



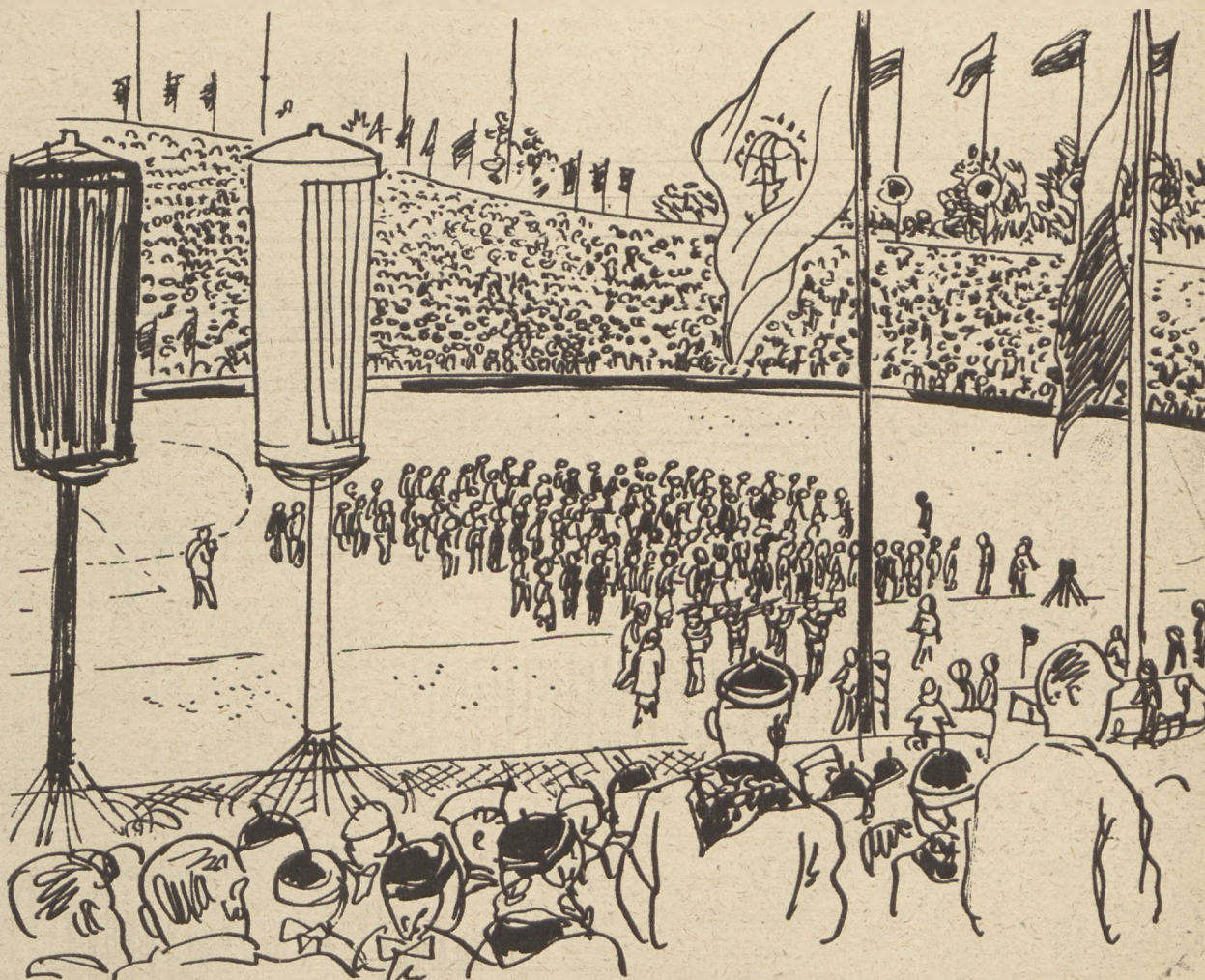
— Ależ oni wam tu zasłaniają cały widok!...
— Za to mamy lepsze widoki na przyszłość!...



Roman Gwoźdź —
Zyrardów



Wiesława Sekrecka —
MDM



Na Stadionie Wojska Polskiego.

W RYTMIE TAŃCA I PIOSENKI...

ŻEGNAŁA WARSZAWA MŁODYCH UCZESTNIKÓW
ZŁOTU, KTÓRZY W RADÓSNYM NASTROJU PO-
WRÓCILI DO SWYCH WARSZTATÓW I SZKÓŁ

Fot. „Świat” — W. Sławny